

Wies

tygodnik społeczno-literacki

Rok VIII

Warszawa, dn. 4. II. 1951 r.

Nr 5 (288)

W NUMERZE:

L. SOBIERAJSKI — List ze zjazdu pisarzy. E. NIZIURSKI — korespondent pomaga pisarzowi.
W. DRYGAS — Po dekrete. S. CIESLAK — bilans roku 1950. K. KOSZUTSKI, — K. SIMONOW — Wiersze.
H. ŻABIKOWNA — O opowiadaniach Dunarowskiego. T. ORLEWICZ — Kraj walczącej Azji.
R. KONICZEK — O książce Jules de la Madelaine. H. KIRCHNER — O książce E. Bronte.
I. G. KAMINSKI — będzie świetlica. R. ZAWADA — Mac Arthur Europy
S. SKULSKI — Jadą wozy ze zbozem. J. POGAN — Dziwny kulak. KORESPONDENCJE.

JAK ZACZYNIAJĄ NAJMŁODSI
PAMIĘTNIK CHŁOPA

Do dyskusji o kadrach literackich wnosimy jeszcze jeden przyczynek. Dotyczy on sprawy najmłodszych. Oto na apel wydawnictwa M. O. N-u o nadsyłanie materiałów na temat wyzwolenia — nadesłał ze wsi czterastoletni chłopiec powieść (1-szy tom), a na dodatek wiersze. Wśród tysięcy dłuższych i krótszych wypowiedzi łatwo było „dziecięcą produkcję” przesunąć do szafy z napisem: „wątpliwe”. Ale redaktorka Żywul-ska jest czujna. I ma kryteria czujności, 14-letni autor? To znaczy, że trzeba postawić sobie dwa pytania.

1) Jakie warunki i jakie bodźce wpłynęły na tak wczesną pisaninę?

2) Jakie warunki i wpływy określiły treść tej pisaniny?

Z miejsca wysunął się szerszy problem. I właśnie dlatego, że w powieści i wierszach 14-letniego chłopca widać zadatków twórczości, że wart jest opieki i pomocy literackiej.

Talenty drzemą w ludziach — to my wiemy. Ale, jak się budzą, właśnie obecnie, właśnie u najmłodszych to wymaga obserwacji, badań i wyciągania wniosków dla polityki kulturalnej, dla rewolucji kulturalnej.

Onawiamy tu jeden przypadek. Daleko więc do szerokiego uogólnienia. Ale i częściowe wnioski mogą mieć znaczenie.

14-letni debiutant nazywa się Stanisław Wiechno. Jest synem kowala ze wsi Leśniczówka pod Dąbrową Zdunską, w gm. Baków, pow. Łowicz.

Cztery co najmniej możemy wyliczyć czynniki, jakie wpłynęły na przyspieszenie i treść pisaniny chłopca.

1) Pochodzenie, najbliższe i dalsze otoczenie.

2) Ruch operu w okolicy w 44 r. i udział chłopca w partyzancie.

3) Powstanie Liceum Rolniczego i Ogólnokształcącego w Dąbrowie Zdunskiej w r. 1945.

4) Wpływ liceum pośredni na chłopca i bezpośredni od roku.

Chłopak wychowywał się w cieniu kuźni i w kręgu wyrobników i proletariatu wiejskich, pracujących we dworze, u młynarza i innych bogaczy. Kuźnia to dobre miejsce dla gawęd. Dziecko nieraz posłyszało o dziadka doli na pańskim, we dworze, nieraz o ojca towarzysząc, którzy ginęli w walce z granatową policją. Takimi gawędami zastąpiono mu okres bajek.

Gdy miał lat 8 przybyli do wsi „warszawiacy”, wśród nich KPP-owice. Zaczęła się robota partyzancka, ta, która musiała na podrostku wyrzeźnić niezatarty ślad, sam bowiem brał w niej udział. Choć zaczęło się od tego, że KPP-owice (jak jest w powieści) zabroniły: „Nie, dziecko, ty teraz ucz się, ucz się pić! Nauka to twoja broń przeciwko faszystom. Za kilka miesięcy będziemy walczyć nauką i pracą. A do partyzantki już naley sz sercem.”

W zyciorys Wiechny jest coś z powtórzenia dzieł Pawła Korczagina. I trzeba pamiętać o tym kolejnym zępieniu się kuźni i wyrobników z następnym bezpośrednio etapem partyzantki, pod kierownictwem KPP-owca.

Ośmiolatek chłopczyca przechodził prawidłowy kurs historii najnowszej. Na najbliższym otoczeniu: dwór, plebania, młynarz, kulacy, małorolni, inteligenty warszawskie, wyrobnicy, posterunek żandarmerii niemieckiej, objaśnia mu się podział klasowy, walkę klasową, fronty walki politycznej o niepodległość narodu i wolność ludu. On należy do partyzantki sercem i rozumem.

A potem rok 1945. Ledwie wojska radzieckie i polskie przebiegły wroga, nauczyciele znajdujący się na skutek okupacji i Powstania Warszawskiego w okolicy postanowili utworzyć liceum. Nie było budynku. Ale powstał komitet chłopski z najbliższych wsi. Nie ma cegły i drewna budulcowego. Nie to. Starosta kutnowski pozwala na przejęcie „wojennych” baraków — chłopci transportują je na wozach. Jeszcze tego mało. Zwraca się komitet do dzieci, aby przeprowadziły zbiorke pieniędzy. Na „cegiełkę” ludzie z gminy dali milion złotych. A tu wymiana starych („krakowskich”) pieniędzy. Delegacja do prezesa Narodowego Banku Polskiego. Pieniądze uratowane.

12 maja 1945 r. złoto zielone jeszcze żyło i zaczęto kopać fundamenty w Dąbrowie Zdunskiej.

18 września budynek był wykończony — otwarto liceum. To było wydarzenie w okolicy. Symbol nowości. Symbol nowych czasów. „Nauka to twoja broń przeciwko faszystom”, tak mówili w dniach walki dowódcy. KPP-owice. Nauka ukazała się 9-letniemu chłopcu, jako no-

wy, namacalny ośrodek wyższej wiedzy w okolicy. Jako dzieło rewolucji, przedłużające poprzednią walkę i z nią nierozdzielnie związane. Chłopak zresztą sam ganił z „cegiełką”.

Liceum w Dąbrowie Zdunskiej czytelniczy „Wsi” dobrze znają, z częstych i od lat przysyłanych korespondencji młodego nauczyciela, Mariana Minasa. Ostatnio wypowiadali się uczniowie maturalnej klasy. (Wies nr 48, 50 r.). Cóż o nich można powiedzieć? ZMP-owcy (małorolni, ze spółdzielni produkcyjnych, średniacy) agronomowie — fachowcy, pogłębieni ideologicznie, czytani, wielorako i intensywnie pracujący od lat w terenie (świetlice, pomoc i planowanie w zbiorowych pracach rolniczych). Jak pisała jedna z nich, Irena Prusinska: „Pójdziemy po maturze na pierwszą, awangardową linię — do spółdzielni. A jeśli do wsi starego jeszcze porządku — nasza wiedza i ideologia agronomów socjalizmu będzie pomostem dla przyszłości”. Trzeba też powiedzieć i tak: Nie tylko Minas pisywał do „Wsi”. „Wies” kształtowała i przemieniała rewolucyjnie Minasa (w rocznikach z czterech lat są na to wymowne dokumenty) a był on i jest nauczycielem o największym wpływie na młodzież.

Wiechno ma 14 lat, ale od dawna już jest ZMP-owcem, najpierw wiejskim, potem gimnazjalnym, Dzielną młodzież zetemowska z liceum Dąbrowy Zdunskiej od lat działała w okolicy. W powieści Wiechny spotykamy się z nazwiskiem młodego Rybasa Mieczysława, (czyżby) autora artykułów, dopełniających we „Wsi” (w r. 1948/9) dyskusję o „działaczach-przedsiębiorcach” w Godzianowie. Pewnie już skończył liceum, ten bardzo starszy kolega Wiechny.

Rok temu, mając 13 lat zaczął Wiechno pisać powieść o życiu i przemianach na swojej wsi. Okupacja wsi Leśniczówka opisana jest z zadziwiającą siłą wyrazu. Jakby notował swe przeżycia i obserwacje mały Korczagin. Niezwykle też sugestywny jest opis ruchu oporu i toczącej się walki klasowej z centralną postacią młynarza „działacza-przedsiębiorcy”.

W r. 1950 Wiechno zaczął chodzić pieszo do gimnazjum (mówiąc po staremu) do Dąbrowy — Zdunskiej. W jaką wszedł atmosferę — opisał. Na co trafił w bibliotece szkolnej? Na Majakowskiego i Broniewskiego. Echa dyskusji o poezji z wiosny ub. roku (w „Nowej Kulturze”) tu nie uszły uwadze nauczyciela. Piszesz, skrabie, wiersze — masz Majakowskiego! A wczesną jesienią — masz Broniewskiego!

Nie ma cudów. Zyciorys Wiechny wyjaśnia możliwość wczesnego pisania (oczywiście w granicach pierwszych prób i zadatków pisarskich). Jest to zyciorys rozpalonego żelaza w kuźni walki wyzwoleniczej ludu i proletariatu polskiego i hartującego się na stal pod młotem rewolucji.

To nie patetyczna przenośnia. W rocznikach najmłodszych (14—20) obserwujemy wyraźnie to zjawisko. Ostatnie lata okupacji i nowe lata walki klasowej o utrwalenie zdobyczy rewolucji i zbudowanie socjalizmu wypełniają decydująco u nich okres dziecięcy — młodociany. Jak hartowała się u nas i hartuje stal na wsi? Czytelnikom „Wsi” mówią o tym wyznania Kisieleckiego, syna robotnika folwarcznego z fornaliskich „Ostróżan”, gdzie był sowchoz przodujący, w r. 1940, gdzie w latach 44—47 padł od kuli klasowego wroga formale PPR-owcy, mówią wyznania J. Dziągwa wygananego z domu syna w Gluchowie, mówi historia walki o świetlicę Mikulskiego z Unia, mówią Bakula, Udalski i wielu, wielu innych.

Tam gdzie trafiamy na budzący się talent (na jego możliwość) tam zawsze znajdziemy w okolicy zagęszczenie sił wojny i sił rewolucji w ostrej walce. A w gminie Baków nie od dziś zaczęła się zdecydowana ofensywa biedoty na silne tam pozycje kulackie. To jedno, a drugie: na zyciorys Wiechny widać jak rewolucja docierała w głąb kraju, jak fale jej napelnione różnorodnym ładunkiem wciąż omywają najskrytsze zakątki. I jak ona nie tylko kształtuje najpóźniej młodzież, ale pobudza i przyspiesza jej twórczy rozwój i udział.

Zyciorys Wiechny to jeden z dowodów na to, że jest rewolucja, że w kulturze dzieć się zaczyna również przez najmłodszych, skoro jest potrzebna i nieodzowna.

Trzynastoletni Wiechno i jego miła, 13-letnia Krystyna, już wiedzili, k.m. chcą być: on — dziennikarzem, ona — nauczycielką. I wiedzili — dla kogo!

Jan Aleksander Król.

Mój dziad

co siły

pięćdziesiąt

temu

lat

na polu pańskim

Płynęły,

płynęły lzy

Gięły się dłonie

w pięści

Mój ojciec

ten już nie płakał

Gniew rósł

i pęczniał

Dusili Sławojczyków

z granatowymi się bili —

„Międzynarodówkę”

Plakały oczy

gięły się plecy

Po to

by dziedzic

chłopi

kartofle z solą

Po to

aby Radziwiłł

ludzie w czworakach

Po to,

aby Goeringa

mógł gościć Śmigły —

dziecku chłopskiemu,

miał książkę —

widły.

I oto,

oto po ciężkich latach

znowu wesoło

budujemy

To nasz październik

Świt

Czas

Rewolucyjna awangarda

Toczymy

walkę

Faszyzm

powstaje

Trzeba go silnie

Trzeba go silnie

Trzeba

go w piersi

naszą pracą,

Trzeba

go w piersi dźgnąć —

Zatkneliśmy

drzewca

I walczyliśmy

każdej

pory

roku.

STANISŁAW WIECHNO (14.10.1950 r. — Leśniczówka)

CZERWONE MAKI

(Fragment powieści)

Znowu nie dokończył, bo roz-

wścieczony młynarz uderzył go zwini-

ętą pięścią w twarz. Chłopiec za-

chwiał się, ale utrzymał równowagę.

Jednocześnie poczuł na wargach coś

słonego i ciepłego. Krew pociekła

ciurkiem z rozbitego nosa. — Je-

dziesz, czy nie? — wrzeszczał nad

nim młynarz.

— Nie.

Młynarz ponownie próbował go

uderzyć, ale Andrzej uchylił się w

bok i rzucił się z płaczem na swego

prześladowcę. Silnie zwinętym ku-

łakiem rąbnął prosto w tłustą twarz

bogacza. Groszowski zaklął wście-

kle i chwycił chłopca za głowę. An-

drzej kopnął go silnie w brzuch, ale

młynarz już bił go po głowie olbrzy-

mią jak bochen pieścią. Andrzej

wreszcie upadł na ziemię, wprost

pod nogi przesładowcy. Młynarz

rozwścieczony kopnął leżące ciało

i splunął z obrzydzeniem.

Naraz na ganek wypadła Złotowa.

Widząc nieprzytomnie leżącego syna

stanęła w miejscu i byłaby upadła,

gdyby nie chwyciła się ręką ściany

domu. Groszowski spostrzegł ją

i krzyknął:

— Co ty tu jeszcze porabiasz sta-

ra? Wont mi z mojego domu! Cho-

lera jasna, on śmiał mnie uderzyć!

Szczeniaku!..

Młynarz miał rozciętą wargę. Ob-

tarł krew wierzchem dłoni. Pobiegł

do domu, chwycił jakąś rzecz Zło-

towej i wyrzucił przez otwarte drzwi

na podwórko.

— Zeby mi tu wasza noga więcej

nie postalała!.. Zabieraj, stara, sy-

nalka i won stąd! Już!

Andrzej poruszył się na ziemi.

Matka oprzytomniała. Zerwała chu-

stę z głowy, umoczyła ją w wiadrze,

co stało przy studni i otarła nią

twarz syna. Chłopiec otworzył oczy.

— Gdzie jest on, ten... ten... —

Chciał podwierać się z ziemi, ale

upadł. Krew znowu pociekła mu po

brodzie, spływając na świeżą, bie-

ludką, wyprasowaną wczoraj koszu-

lę.

— Boże, Boże... — cichutko pła-

kała Anna. Andrzej milczał. Mat-

ka trzymała mocno, kurczowo ści-

skając jego rękę.

— Do sółtysa pójdziemy synu,

może on coś poradzi?... —

Na wsi ludzie, jak to ludzie, cie-

kawie pytali ich, co się stało? Pęd-

ko rozeszło się po wsi, że młynarz

wypędził Złotych. Machoń, kiedy

dowiedział się o wypadku, krzy-

czał:

— Świnia! Świnia z młynarza!

Tak człowiek nie robi! Dlatego,

że chłopak nie chciał jeden raz je-

chać na stację, to zaraz trzeba wy-

ganiać go wraz z matką z domu?

Świnia, powiadam!

Sółtysa nie było w domu. Poje-

chał z żoną na chrzciny. Anna

zapłakała głośno — co teraz po-

cznie? Ludzie litowali się nad nią,

pocieszała, ale nikt nie poradził, co

Stanisław Wiechno

ma robić dalej. Nie jeden może

przyjść ich do siebie, ale przecież

u każdego już byli wysiedleni. —

Gdzie wy się biedni podziejecie?

— biadały gospodie. — Zima za

pasem... —

— A może do nas pójdziecie —

odezwiała się Maryniakowa.

Wszyscy spojrzeli na nią. Mary-

niakowie byli najbiedniejszymi we

wsi i gospodarowali zaledwie na

pół morgu ziemi. I oto teraz chcą

sobie zwać na barki nową biedę!

Złotowa także wiedziała o bie-

dzie Maryniaków i nie chcąc im

jej przysparzać odmówiła. Ale

Maryniakowa uparła się: — Zgi-

niecie marnie — mówiła — zima

blisko. Już lepiej, jak zostaniecie

u nas. Andrzej umie pracować —

pójdą z moim starym do lasu i już...

Już wy się nie martwiecie! Z głodu

nie pomrzemy!.. —

Andrzej wciąż milczał. Nie go-

dził się, ani nie protestował. Sie-

dział w kącie ponury, wbił wzrok

w ziemię i milczał. Twarz spucha-

ła mu od uderzeń, bolała go głowa.

Anna przystała wreszcie na per-

sważę Maryniakowej. Otarła lzy

i wyszła z izby. Zaledwie uszli kil-

ka kroków, gdy tuż za nimi roz-

legł się tętent koni. Obejrzała się.

Jechał młynarz. Mijając ich usł-

miechnął się zjadliwie do Andrze-

ja.

— Jak się pan czuje, panie bun-

towniku? Nosek trochę nierówno

zapuchł — może poprawić na rów-

niej, co?

Andrzej szarpnął się i schylił po

kamień. Matka całą siłą wyrwała

mu go z ręki.

Groszowski śmiał się i pokpiwał

jadąc tuż przy Andrzeju. Dopiero

kiedy skręcił w podwórko Mary-

niaków, podciął konie, które z

miejsca ruszyły cwałem.

W bramie Andrzej odwrócił się

i nienawistnym wzrokiem spojrzął

za młynarzem.

— Ja ci pokażę! — wycedził

gniewnie przez zęby.

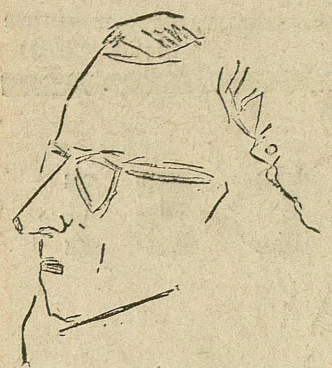
Stanisław Wiechno

LEONARD SOBIERAJSKI

W N I O S K I

(List ze zjazdu literatów do pisarzy „Wsi”)

Jerzy Putrament referat swój na Plenum Zarządu Głównego ZLP zakończył słowami: „...wkroczyliśmy w groźny, węzłowy, decydujący okres historyczny. Świat jest podzielony na obozy. Jeden obóz — w obronie



Rys. Stefan Gierowski
Jerzy Putrament

przywilejów klasowych, w obronie prymatu państwa imperialistycznych, nie umiejących rozwiązać własnych sprzeczności, nie mając do zaufania ludzkości nie, poza powrotem do przetrwałych form społecznych i gospodarczych — otwarcie szkuje się do wojny.

Drugi obóz widząc jasno perspektywę swojej przyszłości, rozwiązując podstawowe trudności społeczne, usuwając od władzy klasy pasożytnicze, wcielając w życie zasadę równouprawnienia narodów — głosi konieczność utrzymania pokoju i o pokój walczą.

Ta sytuacja historyczna winna uwzględnić czynność naszych pisarzy, winna mobilizować ich do największego twórczego wysiłku, z którego wyszłyby dzieła, które pogłębiają wiadomości rewolucyjną naszej przodującej klasy robotniczej i mas pracujących, dzieła, które potrafią je porwać i zapalić do wykonania niezwykle ciężkich zadań przed nimi stojących.

Zadania te to budowa socjalizmu, to wykonanie planu 6-letniego — podwalin dla tej budowy. I pióro pisarza musi służyć tej sprawie, bo jest to zarazem sprawa całego naszego dziedzictwa kulturalnego, sprawa obrony naszej godności ludzkiej, sprawa gwarancji naszego wzrostu. Przeciwno tej potrzebie i woli naszego życia, woli, która dzieli nas z narodami, dążącymi do socjalizmu — czai się imperializm. I dlatego tak ważny jest i decydujący nasz zdumiony wysiłek w tym wszystkim, co wzmacnia naszą siłę jako ognia obozu pokój.

Putrament zamknął swój referat hasłem — zobowiązaniem: „...swoją ważną misję w dziele podniesienia świadomości polskich mas pracujących, swoją częścią w wykonaniu planu 6-letniego, swoją częścią w wielkiej sprawie obrony pokoju — literaci polscy wypełniajcie”. O tym zobowiązaniu pragniemy dzisiaj mówić z szerokim frontem współpracowników „Wsi”, obejmujących pisarzy zawodowych i korespondentów, działaczy kulturalnych, młodzież ZMP-owską — wszystkich tych, którzy swoim piórem i konkretnym działaniem służą sprawie socjalistycznej przebudowy wsi, rozumieją, o co toczy się walka i wiedzą, w jakich historycznych warunkach ona się rozgrywa. Możemy na tym miejscu bez poczucia fałszywej dumy stwierdzić, że w pisarstwie Waszym, w ujmowaniu problematyki dzisiejszej wsi nie zapomnieliście nigdy o jednym, że wieś nasza jest terenem najostrejszej walki klasowej, że stała się ona ostatnim rezerwuarem elementów kapitalistycznych, że wieś i małe miasteczka naszego kraju to schronisko reakcyjnej kanalii, która wolała się tam, by w oparciu o kulactwo sączyć swój gnijny jad rozkładającego się własnego organizmu. Na ten proces nigdy za dużo Waszej czujności. Musicie wyczulić Wasze oko na wszystkie sprawy, jakie dzieją się w

polu Waszego widzenia, musicie umieć dostrzegać najmniejszą lukę, w którą wdziera się brudna tupa wroga klasowego, musicie umieć demaskować go na każdym odcinku życia wiejskiego. W ten sposób Wy, pisarze walczącej wsi, staniecie się najbliższymi towarzyszami chłopów, mas, pracujących pod kierunkiem klasy robotniczej do przebudowy swego życia na ludzki, socjalistyczny ład. Do zadań Waszych należy tak organizować swoje pióro, by z niego szła pomoc i siła dla drobno- i średniorolnych chłopów, by odczuli oni w Waszej prozie i wierszach, w Waszych reportażach, nawet w Waszych felietonach i notatkach wielkość i piękno toczącej się walki dla samej wsi, dla całego kraju, dla całej ludzkości, która obronę kultury wieków, co tyle krwi i ofiar kosztowała, składa dzisiaj w ręce Wielkiego Obozu Pokoju, którego nasze społeczeństwo musi się stać godnym spadkobiercą. To chyba jest najszlachetniejsza dziś duma każdego uczciwego człowieka i ta duma powinna dźwignąć Wasze pióro. Wielka radość, w którą Wasze pióro będzie trafiało, wymaga nieszczęśliwego wysiłku artystycznego w każdym rodzaju literackim, w jakim próbowacie zamknąć swoje pisarskie doświadczenia. JERZY PUTRAMENT RZUCIŁ LITERATOM HASŁO WALKI O JAKOŚĆ I WALKI O CZYTELNIKA. O czytelniku nie potrzeba Wam wspominać. Wiemy, że pióro nasze ma służyć wsi walczącej o spódnictwo produkcyjne, a więc o dobrobyt materialny i kulturowy; ma służyć wsi walczącej o postęp, a więc wsi, likwidującej u siebie resztki ciemnoty i zacofania, cuchnącego spadku po feudalno-kapitalistycznych czasach, wreszcie pióro nasze ma służyć wsi walczącej o pokój, a więc wsi, która potrafi dać wyraz miłości i szacunku dla towarzyszy wspólnej sprawy — bolszewików i narodów Związku Radzieckiego; krajów demokracji ludowej i walczącej klasy robotniczej krajów ciemnościowych przez kapitalizm.

Porozmawiajmy o zagadnieniu jakości naszego piórowania. Wam nie potrzeba mówić o metodzie realizmu socjalistycznego, ponieważ Wasze doświadczenia bezpośrednio wyrastają z walki klasowej o nową, socjalistyczną wieś. Życie i działanie „terenie”, w swoje pióro wnosić, to, czym ten „teren żyje”. To jest wasza legitymacja na realizm socjalistyczny. Na jego pozycjach jesteście od dawna. Można jednak mówić o usprawnieniu Waszego warsztatu, można jednak mówić o pogłębieniu Waszej świadomości socjalistycznej, która klasowo przeniknięta i lepiej artystycznie pozwoli Wam kształtować dokonujące się na wsi procesy. Musicie zdać sobie sprawę z funkcji swojego piórowania, z wielkiej siły jego oddziaływania, gdy włożycie w nie całą swoją pasję, gdy będziecie wiedzieli, co ono ma oznaczać w toczącej się walce o socjalizm. Putrament na zjeździe mówił i my Wam przekazujemy jego słowa: „Siła, specyfika artystyczna, polega właśnie na tym, aby nie naga formułą polityczną, nie doczepionym politycznym komentarzem, ale logiką obrazu, postaci, rozwoju konfliktów przekazywać odbiorcy słuszną treść polityczną. Obraz artystyczny głębiej i głębiej kształtuje świadomość od wszelkich innych form oddziaływania, ale i rozgrzewa ją, zapala, porusza.”

Powiecie, że to są wymagania, które można stawiać wyrobionym, zawodowym literatom. Ale to nieprawda. Można je stawiać pisarzom, którzy próbują swych sił w reportażu czy nawet w mniejszych formach literackich jak felieton, list, czy notatka. Ale wtedy, gdy ten pisarz ma świadomość, że jego najdrobniejsza próba wpływa na potrzeby służby społecznej, gdy chce nią oddziaływać na swoje środowisko, gdy chce je przekształcać, brać czynny udział w jego walce, to wtedy nawet w felietonie czy w nocie, można i należy pokazać konkretny obraz, określony konflikt, zdefiniowanych klasowo ludzi. I Wy macie na to warunki, tylko piszcie z dobre zaobserwowanego materiału, umieć to zorganizować przy pomocy tych wyznaczników, według których ustawia go dialektyka procesów klasowego jeszcze społeczeństwa, a które wstępuje na drogę socjalizmu. Gdy będziecie trzymali się tych zasad, to Wasze pióro będzie znajdowało coraz udatniejszy wyraz artystyczny. Jesteście o tyle w lepszym położeniu od pisarzy zawodowych, pochodzących przeważnie ze środowiska inteligentno-mieszczańskiego, że Wy wychodźcie wprost z mas chłopskich i robotniczych, że te masy są Wam bliskie uczuciowo i poznawczo, bo jesteście wśród nich.

„Dlatego nie będzie czasu przechwałki — jeśli i do Was zaadresujemy słowa Jerzego Putramenta, sekretarza Generalnego ZLP — że swoją ważną misję w dziele podniesienia świadomości polskich mas pracujących swoją częścią w dziele planu 6-letniego, swoją częścią w wielkiej sprawie obrony pokoju — pisarze „Wsi” w całym swoim wymiennym na początku zestawie — wypełnią z pożytkiem dla swoich czytelników i literatury.

LEONARD SOBIERAJSKI

EDMUND NIZIURSKI

KORESPONDENT POMAGA PISARZOWI

I.

W referacie wygłoszonym na ostatnim Plenum Zarządu Głównego ZLP Jerzy Putrament wskazał, że głównym zadaniem literatów w bieżącej chwili jest dopomożenie swą twórczością polskim masom pracującym z klasą robotniczą na cele w wykonaniu planu sześciolatniego i że „w tym celu należy bliżej zapoznać się z problematyką ich życia i pracy, z nimi samymi, z ich wymaganiami od literatury”.

Niewątpliwie zasadniczym sposobem powiązania pisarza z zagadnieniami życia i pracy robotnika i chłopów jest osobiste zetknięcie się z nimi, jest pobyt literata w terenie w fabrykach i wsiach, bezpośrednie zapoznanie się z „rzeczywistością szczegółową”, z konkretnymi sprawami mas pracujących w ich pracy i walce.

Tu jest podstawa pracy literata. To między innymi pozwoliłoby powieściopisarzowi stworzyć pozytywnego bohatera w typowych konfliktach i sytuacjach przy zachowaniu ich pełnej „konkretności i indywidualizacji w czasie i przestrzeni” a poecie przezwyciężyć ogólnikowość i deklaratywność, która w swej istocie wynika właśnie z niedostatecznej znajomości naszej rzeczywistości w jej szczegółach.

Obok osobistego zetknięcia z terenem nasi literaci dysponują dziś jeszcze jedną potężną a wciąż jeszcze niedocenianą pomocą w swej pracy. Pomocą tą są korespondencje terenowe, są setki krytycznych uwag, faktów, zdarzeń, ocen z różnych stron naszego kraju zamieszczanych na łamach dzienników przez „sumienie” mas pracujących — korespondentów robotniczych i chłopskich.

Na czym polega znaczenie zamieszczanych w dziennikach korespondencji i opartych na materiale terenowym artykułów dla pisarza? Polega ono po pierwsze na tym, że korespondencje terenowe rozszerzają ogromnie krąg doświadczeń terenowych pisarza, mnożą niejako i potęgają jego wiedzę o terenie. Pozwalają mu uchwycić to co typowe, pozwalają skorygować i uzupełnić pod tym względem własne doświadczenia. Każdy utwór literacki jest zawsze sumą i syntezą wybranych doświadczeń pisarza. Im więcej tych doświadczeń, tym większa gwarancja poprawności wyboru i uchwycenia typowości, a jednocześnie tym większa „możliwość konkretyzowania i indywidualizowania wydarzeń i postaci.

Pisarz przebywający w terenie w jednym z zakładów narodził się w tym czasie w błędy autentyzmu, zaciśnięcia kręgu widzenia i perspektywy, a także koniec końcem na „technologizm”, który wy-



tknął Putrament m. inn. Mirosławowi Kowalewskiemu. Oto odwrotna strona zagadnienia pisarza przebywającego w terenie. Chodzi o to, by pobyt w danym miejscu nie spowodował zasklepienia. Nie jest przypadkiem, że pisarz bodaj najściślej związany i obeznany ze swoim „terenem” jak Kowalewski — który jeszcze w czasie okupacji pracował w cukrowni jako robotnik, od 1946 r. był „zmianowym” w cukrowni Zabkowie pod Wrocławiem, a potem głównym chemikiem zakładu — najwięcej grzeszy „technologizmem”, tj. zbyt ścisłym zaciśnięciem kręgu widzenia autora (do technicznego procesu produkcji), że szkoda dla pogłębienia klasowego i psychologicznego bohaterów książki. Pewne niebezpieczne zwrócenie spojrzenia do wewnętrznych spraw kopalni znajdujemy także w „Węglu” Scibora-Rylskiego, który swą powieść opierał również na osobistych doświadczeniach i „dokładnej znajomości terenu.”

Zbytne zaciśnienie kręgu widzenia do danego zakładu, lub jeszcze gorzej do samego technicznego procesu produkcji jest więc drugą błędną krańcowością zagrażającą, podobnie jak — ogólnikowość, naszej nowej literaturze w jej wieku dojrzenia.

KAZIMIERZ KOSZUTSKI

JESZCZE NOC...

Na polach obszarnika z Palermo zabity został bezrobotny, który zbierał kłosa na ściernisku (z prasy).

Dziś meża jej na obszarniczym polu zabili.
Jedno serce dwu kul nie pomieści —

I na cóż się zdało w górach Emilii
leśną roztrwonić młodość?
W oczyszczonej ziemi,
wciąż jeszcze nie w oczyszczonej,
sen o pracy i sen o chlebie
jak kamień w wodę.
Szło za nim krok w krok, jak wyzwicko: bolszewik —

Znów tłusty bankier, ksiądz i żandarm,
kupiec, fabrykant i obszarnik
wrócili do swych praw i posad.
I komunisty pracy żądnej
nie znajduje w wilczej ich owczarni,
jeżeli nie chce psem pozostać.

A na obszarniczym, na księżym, na pańskim
przelotne ptaki i myszy polne się karmią
rozsypanym w polu ziarnem,
lecz jak łańcuchowy pies, jak jastrząb,
czy najemnego wartownika patrzą...

I ten, który się przed głodem nie ugiął,
rękami zatrzepotał, jak ptak,
na ryżym ściernisku ukłękł
i do piersi rozdartej przytulił
jak sztandar, skrawioną ziemską kulę,
zaciśnięty w pięściach kłos.

Niebo szczyrzy wilcze kły gwiazd,
wiatr w dżwon obłoków bije na alarm.
W płucach powietrze, jak rozpalony głaz,
a oczy —
oczyma gasnącymi te stogi podpalić,
niech wybuchnie z nich kłosów płomień!
Niech trzaskają ostre ziarna iskier!

Jakim słowem wdowę po zamordowanym wesprzeć,
słowem, które od wątplenia ocali?
Nie poddawaj się, żono komunisty!
Tej nocy jeszcze
dziesięć górników z Valdarno wstąpiło
do Komunistycznej Partii Włoch,
aby po poległym zapełnić w szeregach wylom.

Kazimierz Koszutski

wyżej tamy, muszą wozić zboże o kilka kilometrów dalej, do innego młyna.

W ten sposób sprytny kulak pokłócił chłopów z Grabową z chłopami ze Skrzynek i innych gromad leżących poniżej tamy. Udało mu się zwiększyć walkę na tory „pózklasowe”. Udało mu się dzięki obojętności organizacji partyjnych obu zainteresowanych powiatów i biurokratycznemu bezwzględni zarządowi miejskiego osady Grabów, który nie tylko nie potrafił ale nawet nie próbował zmusić kulaka Serafińskiego do uruchomienia młyna za pomocą pary, a w razie jego oporu interweniować w ZSCh o przejęcie młyna i puszczanie go w ruch przez „Samopomoc”.

Ileż w tym autentycznym zdarzeniu opowiedzianym przez korespondenta problemów, jakie napięcie walki klasowej! Brakuje tylko jednostkowego pozytywnego bohatera — niech nim będzie sam korespondent. Jeśli dziś biedota ze Skrzynek i Grabowa wygrała walkę z bogaczem wielką w tym zasługa korespondenta.

III.

Przejdźmy wreszcie do trzeciej, bardzo ważnej funkcji użytkowej korespondencji terenowych w warsztacie literata.

Edmund Osmańczyk w posłowie do swych „Tematów do powieści” w I Nr „Twórczości” zaczerpnął z autentycznych wydarzeń pisze: „...zaczynam się zastanawiać, czy postępują naprawdę słusnie ci powieściopisarze, którzy męczą się intuicyjnym tworzeniem postaci i wymyśleniem bardzo skomplikowanej literacko fabuły, jeśli tak łatwo można napotkać prawdziwych bohaterów prawdziwych dramatów współczesności, w której żyjemy.”

W słowach tych czai się pół drwiący uśmiech wytrawnego publicysty na widok wysiłków powieściopisarzy. „Gdybym był powieściopisarzem, to ja bym wam pokazał”, chwali się Osmańczyk i wytrąca z rękawa swego publicystycznego habitu jak z rogu obfitości, gotowe szkice powieści — wszystko z autentycznych wypadków. Ale nie dajmy się zwieść iluzji. Sztuka polega nie na tym, żeby napotkać temat. Sztuka polega na **umiejętności widzenia**. Napotkać zawsze można temat, ale poprawnie zobaczyć? To jest cały problem literata. „...terenie”. Zobaczyć sprawy i ludzi we właściwych proporcjach, zobaczyć węzły problemów... Do tego trzeba mieć właśnie oczy Osmańczyka albo... korespondenta terenowego. Biurokraci też „siedzą” w terenie, ale co z tego, kiedy są ślepi. Niejeden z nich, co się niestety zdarza, zajmując kierownicze stanowisko, teoretycznie ma nawet szersze możliwości obserwacji, a jednak nie widzi nic, co więcej, nie znoś, żeby ktoś inny widział... Biada literatom, którzy za swojego „cicerone” w terenie weźmie w dobrej wierze takiego dawciela krytyki jak np. pewien dyrektor Stoczni Jachtowej w Gdańsku, czy „dzierzymorę-terrorystę” jak dyrektor Komar z PGR Nowa Cerkiew lub klikę kumoter-ską Durlika z Pogorzalych.

Również uważaliby za osobistą zniechęcenie sekretarza komitetu gminnego Dołgan i burmistrz z Grabowa Skrobański — statysty z naszego filmu p.t. „Młyn nad Prosną”, który w konspekcie przedstawiliśmy powyżej, gdyby im zarzucić, że nie widzą głównych punktów w topografii klasowej swojego terenu: młynarza-bogacza i walczących z nim od lat biedniaków ze Skrzynek.

A jednak nie od tych statystów zdołają nasi literaci materiał do powieści, nie od nich będą się uczyć poprawnego widzenia rzeczywistości klasowej. Będą się uczyć natomiast od takich korespondentów, jak Wojtkowski z Grabowa.

Problem literata w terenie, w fabryce i na wsi, to problem **widzenia jak korespondent**, to ustawienie walka o należyta ostrość spojrzenia, o właściwe wartościowanie zagadnień, o oczyszczanie pola widzenia z mgieł zawieszanych przez biurokratów. Tego widzenia uczymy się od korespondenta chłopów i robotników, uczymy się z artykułu terenowego w gazecie. Każda dobra korespondencja jest bowiem dla literata nie migawkowym zdjęciem ułamka rzeczywistości, lecz obrazem załamany już w świadomości klasowej korespondenta i wyselekcjonowany. Jest tam już z reguły ocena rzeczywistości z punktu widzenia partyjnego, jest owa socrealistyczna tendencyjność, na którą kładł nacisk Putrament.

Każda korespondencja i każdy dobry artykuł terenowy w gazecie, to lekcja odcyfrowywania w konkretnej rzeczywistości walki i zadań, na które wskazuje Partia. Tu poznajemy nie tylko fakty, ale i sposób widzenia ich przez świadomego klasowo robotnika i chłopów i to jest najcenniejsze z tego, co korespondencje w gazetach dają codziennie pisarzom.

Edmund Niziurski

WOJCIECH DRYGAS

P O D E K R E C I E ...

Wizyta w Powiatowej Radzie Narodowej zaczęła się od nieprzewidywanych trudności. Sekretarz prezydium PRN, zamknięty na cztery spusty w gabinecie, konferował z komisją zdrowia i nie przyjmował w tym dniu żadnych interesantów. Według opinii wójtowskiego konferencja miała się przeciągnąć do wieczora. Przewodniczący prezydium wyjechał podobno do Łodzi, gdzie miał pozostać przez całą dobę. Nie było więc jakiegokolwiek nadziei, że go dzisiaj ujrzę. Wykluczałem również możliwość zetknięcia się z jego zastępcą, który od

— A czy byłoby niedyskrecją — rzekłem — zapoznać się z jej zawartością. Okazało się, że można. W poszukiwaniu kierownika, który klucz od biurka trzymał w kieszeni, a wyszedł gdzieś przed godziną „tylko na jeden moment”, rozpoczęto mnie przeznaczać z referatu do referatu, z wydziału do wydziału, z piętra na piętro. Przy tej sposobności przypominała mi się przedwojenna anegdota o pewnym burmistrzu, który wyniósł się po cichu z magistratu na piwo, unosząc w kieszeni klucz od ubikacji. Zobaczyłem wreszcie pierwszą skarżącą wniesioną do teczki kierownika

— Nie, remontujemy... Wprowadzono mnie do wnętrza piętrowego budynku, graniczącego bezpośrednio z ogrodem szkolnym. Był to obszerny, murowany dom, o pięciu widnych izbach. W budynku uwijali się murarze i cieśle. Zakładano nowe okna, reperowano podłogi, tynkowano ściany. Kiedy okazałem zdziwienie, że dopiero teraz, w zimie, pomyślano o remoncie budynku szkolnego jeden z pracujących tu chłopów odparł z przekąsem: — Wam to się może zdaje dziwne, a myśmy tu całą wojnę stoczyli o ten budynek. Za by się wdzili z kulakami. To nie było takie proste...

I rzeczywiście sprawa szkoły w Solcy była najpoważniejszą bolączką gromady i okolicznych wiosek. Budynek szkolny ni by był, ale dwie izby nie mogły w żaden sposób pomieścić 120 dzieci, uczęszczających do siedmiu klas. Nauka więc odbywała się na dwie zmiany: przedpołudniem i popołudniem, nieraz do późnych godzin wieczornych. Natrafiano przy tym na ołbrzymie trudności, bo Solca nie jest zelektryfikowana. Teraz, w okresie zimy, trzeba było starać się o naffe, o lampy. A do tego działwa dochodziła niejednokrotnie z odległości o kilka kilometrów wsi. Brnęły więc wieczorami po błocie i ściecie do domów, a już w bardzo deszczowe lub śnieżne dni, wcale do szkoły nie przychodzili.

Ostatnio sprawa uruchomienia szkoły w odpowiedniejszym do tego celu budynku stała na porządku dziennym Gminnej Rady Narodowej w Tkaczewie. Wnieśli ją przedstawiciele komitetu rodzicielskiego chłopów, malorolnicy Kołodziej i Krupniński oraz nauczyciel Stanisław Michałski. Wniosek przedłożony Gminnej Radzie brzmiał:

„Na terenie gromady Solca znajduje się 5-cio izbowy, niezamieszkały przez nikogo budynek, a należący do ob. Zawady. Mieszkańcy gromady proponują, by budynek ten został oddany dla potrzeb szkoły, tym bardziej, że ob. Zawada, miejscowy bogacz, posiada w tej samej wsi obszerne zabudowania gospodarskie. Nie korzysta natomiast z budynku, w którym szkoła mogłaby znaleźć wygodne pomieszczenie”.

Gminna Rada Narodowa zarządziła w Solcy zebranie koła rodzicielskiego oraz zainteresowanych spra-

wą szkoły rodziców dzieci, na które zaproszono także kulaka Zawadę.

Wnosząc swoją petycję do Rady żaden z mało- i średniorolnych nie przypuszczał, że sprawa budynku szkolnego odkryje prawdziwe oblicze bogacza Zawady. Bo Zawada cieszył się wśród mieszkańców wsi opinią „dobrego kulaka”. Czytał mszałik jak jaki ksiądz i chodził regularnie na wszystkie nabożeństwa. Dobrą opinią cieszył się również Jagodziński. Gdy trzeba było — oddawali obaj swoje konie w pomoc sąsiadom, gdy już inaczej nie szło — wzięli zboże do gminnej spółdzielni. A po reformie walutowej tak się zaplakiwali, tak tłukli głowami o matkę-ziemię, że co litościwi, a mało uświadomieni chłopci, pobiegli im pożyczka nowych pieniędzy. I chociaż w dwa tygodnie później Zawada wraz z synami wrócił do Łodzi w nowych garniturach, a Jagodziński sprawił córce pelisse — nikt na to jakoś nie zwrócił uwagi.

Zebranie miało charakter burzliwy. Zawada z miejsca zaprotestował przeciw wysuniętej propozycji odnajęcia pustego budynku. Jak to? On bogaty chłop, nie może mieć domu, w którym nikt nie mieszka? A zresztą teraz dom stoi pusty, ale z czasem będzie mu potrzebny, bo żeni dwóch synów. Jeden z nich miałby objąć w posiadanie 6 ha ojcowizny, drugi z wiana nieboszczki matki 7 ha, a stary gospodarzyby na pozostałych pięciu hektarach, dokupionych zarzą po wojnie. W ten sposób Zawada chciał się „przemycić” do chłopów średniorolnych?

Żadne argumenty nie przekonały Zawady — trwał przy swoim. A co mi tam cudze dzieciaki — mówił. Poparli Zawadę bogaty chłop Jagodziński, I ten usiłował argumentować, że dzieci mogą z powodzeniem uczyć się wieczorami w szkole, a trochę kataru nikogo jeszcze do grobu nie wpędziło...

Wystąpienie Jagodzińskiego wywołało burzę. Podniósł się z pięściami Kołodziej, rozgadali się inni.

— Kto tu występuje przeciw szkole? Kto nie chce by nasze dzieci uczyły się za dnia?

Zawada jeszcze próbował oponować, „bo to wiecie obywateli, nie mam gdzie bydła postawić, a już tak



W Gminnej Radzie Narodowej Fot. K. Jarochowski

sobie umyśliłem, aby właśnie w tym budynku było najlepiej”.

Wypowiedź Zawady, że zamierza wprowadzić do budynku — wymagającego niewielkiego remontu — krowy, wywołała ogromne oburzenie. Podjęto uchwałę, że dotychczas bezużytecznie stojący budynek zostanie wynajęty na potrzeby szkoły. Teraz, kiedy wyszło „sztydło z worka” i ukazało się właściwe oblicze kulaka, zaczęło sobie to i owo przypominać. Przy okazji przypomniano sobie i o pozostałych kulakach. Nie długo namyślali się już potem chłopci malorolnicy Kurek, Murawański, Gozdecki, Malinowska i Janina Pięta oraz średniacy Olejnik, Przybylak i Maria Kołodziej ze wsi Prądzie, składając w Prezydium Gminnej Rady Narodowej w Tkaczewie skargę na bogacza Gomańskiego, który swym wrogiem postępowaniem uniemożliwiał gromadzie wykonanie w 100% planu skupu zboża.

„Bogacz Gomański — pisali oni — ukrywa w stertach słomy duże zapasy zboża. Trójkę gromadzką obrzucił wyzyskami, a na Kurka podniósł widły. Bezcenna to jucha ten kulać. Porządek z nim trza zrobić. Prosimy więc Radę o interwencję, bo taki to szkodzi interesom państwa — interesom naszym, chłopów mało i średniorolnych”.

Prezydium GRN przychyliło się do żądania chłopów, aby dokonać u Gomańskiego „przymusowego” omiotu zboża. Po mocarnie do ośrodka maszynowego w Różyce udali się skwapliwie swymi koniami średniacy: Andrzej Kmiecik i Konstanty Graczyk. I tu dopiero cała historia! Któż by bowiem przypuszczał, że obaj są popiecznikami Gomańskiego? Za literkę wódkę tak zresztą manewrowali maszyną, aż ją wprowadzili w grząską ziemię. Młocarnia zaryła się po osie w rozmięklej ziemi. Unieruchomiono ją tutaj na długo.

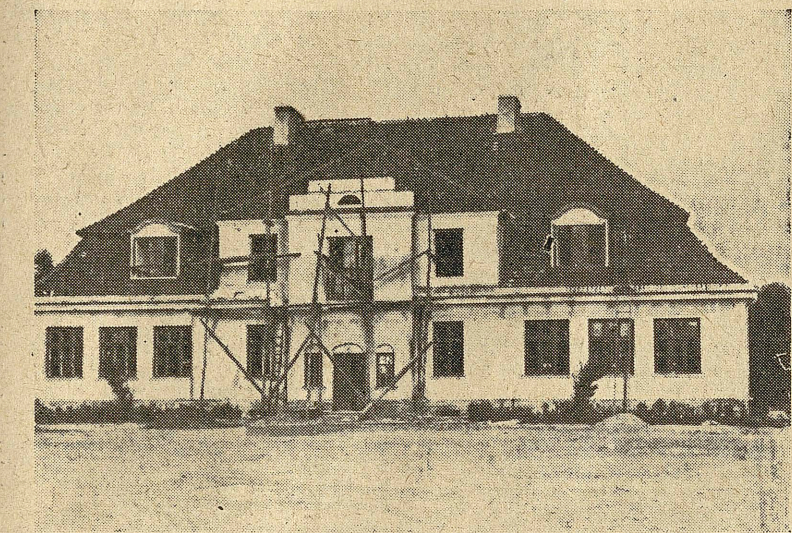
Może by nawet do wiosny liczył kulać Gomański, który w tym samym czasie przy pomocy całej ro-

tarto z triumfem do szopy. Pomimo protestów Gomańskiego, młocka odbyła się bez zakłóceń. Ogółem wymłócono 88 kwintali zboża, z czego 18,5 q przekazano na pokrycie założeń w podatku gruntowym, którego „biedny” Gomański „nie miał czym opłacić”. 18 q sprzedano gminnej spółdzielni — resztę zaś, po wyliczeniu kosztów za wypożyczenie młocarni i koni, zostawiono do dyspozycji bogacza.

I tak mu jeszcze za wiele zostało — stwierdził przewodniczący prezydium GRN, Antoni Prus, który referował mi zagadnienie elektryfikacji wsi Skromna, Różyce i Solca. Wiele by pewnie upłynęło czasu, zanim by w chałupach chłopskich zabłysło światło. Ale malorolnicy Marzalek, Oleczak, Ryk, Matusiak i Kowalski wystąpili z inicjatywą wybudowania linii niskiego napięcia sposobem gospodarczym. Pomiarów dokonają fachowcy, a wieś postawi słup i przy pomocy pracowników miejscowej poczty założy przewody. Nie więc nie stoi na przeszkodzie, aby na wiosnę przystąpić do dzieła. A jak będzie już elektryczność, to w projekcie jest radiofonizacja i stałe kino wiejskie.

*

Tak więc w oddalonym raptem o kilka kilometrów od miasta powiatowego, a mimo to dotychczas zabitym deskami Tkaczewie, rośnie niezachwiana „włafa” chłopstwa pracującego we własne siły, we własne zdolności rządzenia. Tutaj ustawa Rządu i Rady Państwa znalazła żywy oddźwięk, o czym świadczy również liczne indywidualne sprawy wnieszone przez chłopów, a wysłuchiwane i zaspakajane przez Gminną Radę Narodową. Nie ma tutaj bolączek mniej i więcej ważnych. Skrzywdzona przez męża-pijakę żona znajduje w takim stopniu oparcie w Radzie, w jakim znalazł je komitet rodzicielski ze Solca, który biał się z kulakiem o najistotniejsze potrzeby działu szkolnej. Nie odmó-



Remont szkoły.

Fot. T. Szewera

kilku dni wizytował teren. Niemniej jednak obywatel wożny radził mi rozgościć się wygodnie w zaciszu gabinetu prezydium i czekać z uporem wzorowego petenta dopóty, dopóki ktoś z Rady wzruszony moją cierpliwością nie raczy litościwie odgadnąć celu mego przyjazdu.

Kłopotliwą sytuację rozstrzygnęły nieprzewidziane okoliczności. Bo oto w wożnym obudziła się w pewnej chwili czujność. Bądź co bądź w gabinecie prezydium obcy osobnik? Może to ktoś z wojewódzkiej na inspekcji? Więc zapytał niby od niechcenia:

— A obywatel skąd—to przybywa?

— Z Łodzi — odparłem.

— A delegacyjka jest? Bo to wiecie obywateli, teraz jest czujność klasowa... — dodał usprawiedliwiająco.

Pragnąc rozwiąć jego podejrzenia przedłożyłem mu swoją legitymację prasową. Wożny zrobił wielkie oczy i od tego momentu wypadkioczyły się z zaskakującą szybkością. Niemal w jednej chwili zjawili się i przewodniczący prezydium PRN, który przed kilku minutami przebywał rzekomo w oddalonej stąd o kilkadziesiąt kilometrów Łodzi, i sekretarz, nie przyjmujący dziś interesantów. Pierwszy strząsał ze spodni niewidzialne pyłki kurzu, drugi zdmuchiwał z kłap marynarki popiół papierosa. Obaj byli niezmiernie zaskoczeni moim nagłym najściem. Ale kiedy wyjaśniłem im cel przyjazdu, twarze obiekli w wyraz szczęścia, jakiego doznają ludzie, gdy mogą dosiąść swego konika.

Uchwałą Rządu i Rady Państwa w sprawie skarg, zażaleń, interwencji oraz krytyki prasowej znają na wylot. Obaj rozumieją jej doniosłość i chcieliby realizować ją w całej pełni. Cóż, kiedy u nich żadnych skarg nie ma. Nie ma skarg, nie ma zażaleń, nie ma listów z interwencjami. Nawet im się to trochę dziwne wydaje, że ludzie nie odczuwają żadnych braków. Czyżbyśmy tak dobrze pracowali?

Podobno w innych powiatach, sytuacja przedstawia się gorzej. Doszły już do nich słuchy, że niektóre Powiatowe Rady Narodowe puchną od skarg i petycji robotników i chłopów. Nawet musiano powołać specjalne referaty, które od rana do nocy rozpatrują i interweniują. Ale u nich w powiecie jest na odwrot. Nie ma potrzeb, więc będzie można planowo inwestować, planowo „nasy-

wydziało ogólne, nie licząc trzech wycinków prasowych, z których dwa wyniosły pod niebiosa gromady Zagórzycze i Górę Baldrychowską za wykonanie planu skupu zboża, trzeci zaś w ogólny doś sposób krytykował działalność miejscowej komisji zdrowia.

Sekretarz prezydium przystąpił do odczytania mi dwóch pierwszych wycinków. Uszanowałem jego wyimowe, rozumiejąc, że były one najważniejszym wydarzeniem w jego życiu, całą jego reputacją, jego chwałą. Natomiast wycinek z „Głosu Robotniczego” określił jako kalumnię złą i niesprawiedliwą, zniekształcającą rzeczywistość. A poza tym nie można nikomu dogodzić. Jak więcej uwagi komisja zdrowia poświęcił stanowić sanitarnemu miastu, to zaraz odzywa się w prasie speć od powszechnych zakładów lecznictwa, pracowniczego, że tak ważne zagadnienie bytowe nie znajduje w pracy komisji dostatecznego odzwierciedlenia. Tymczasem komisja robi się coraz bardziej podobna do krótkiej koldry — jak w jedną stronę podciągniesz, zaraz z drugiej coś wystaje nieokryte.

Nic więc dziwnego, że biorąc pod uwagę te wszystkie trudności, sekretarz prezydium protestuje i skarży się na skargę o rzekomo złej pracy komisji, której on tyle poświęca czasu. Ale na szczęście komisja zdrowia jest już na tropie autora noty. W sprawie tej wysłano nawet zażalenie do Wojewódzkiej Rady Narodowej. Jednym słowem skarga na skargę.

— A czy Gminne Rady Narodowe — spytałem — realizują w terenie uchwały Rządu i Rady Ministrów? Sekretarz rozłożył beznadziejnie ramiona.

To samo pytanie, postawione w gabinecie sekretarza prezydium, powtórzyłem za chwilę w Komitecie Powiatowym PZPR. Tow. Raźniewska spojrzała na mnie z ukosa. A wy myślicie, że nie? Dlaczego? Przecież uchwała jest tylko usankcjonowaniem rzeczywistości. To rzeczywistość powołuje do życia dekrety, a nie odwrotnie. Aby spotkać się oko w oko z poszukiwaną przez Was problematyką, wystarczy udać się do pierwszej lepszej gminy, na ślepo, bez żadnego „typowania”.

*

Wybrałem więc gminę Tkaczew, była najbliższa. Zatrzymałem się w pierwszej wsi Solcy, opodal budyn-

Konstanty Simonow

tym. Jerzy Ficowski

TYGRYS

Dziś przypomniałem sobie San-Francisco
I na dwudziestym pierwszym piętrze gości.
I kartkę, którą ktoś do rąk mi wcisnął:
Zebym z sąsiadem miał się na baczności.

Sąsiad — właściciel trzech gazet tutejszych —
Tygrysem był, co tułów swój w pasiasty
Wepchnął garnitur z ostrzej, rudej sierści.
Ale raz po raz w pogawędce wiał się,
Wylazł nagle wyczyszczonym pastą
Swoim zębątnym uśmiechem tygrysim
I grubą łapą w sierści złoto-burej,
Opilowaną u pięciu pazurów.
Roznowa była długa i najprostsza,
Lecz z boku komuś przypomniała może
Zamkniętą szczelnie paczkę pełną ostrzy,
W której do czasu owija się noże.

Więc poprzestawał wytrwale czas cały
Na słówkach grzecznych i krętych zarazem,
Lecz nie łagodny był, ale się czał
Do dzikich skoków w gęstwinie swych gazet.
Po to przychoził się na miękkich łapach,
Czerwony kolor już zwęszył, krwi zapach!

I chociaż chyłkiem, kocim kołowaniem,
Rozmowa przeszła każdy kąt do koła,
W twardym milczeniu wstaliśmy od stołu,
Tak jak usiedliśmy przy nim — wrogami.

Aż dziś, po roku, nie wiem z jakich przyczyn
Wspomniałem bankiet, nie ciekawy w niczym, —
Czy nie dlatego, że przed tym spotkaniem
Widziałem jeszcze ostatnie przemiany
Tygrysińskie losów przed sądami świata,
Gdy wyleciały, niby za pogrzebem
Właził za kraty zły tygrys nie jeden
I szkło ampułki w swych zębach rozgniatał?
Lecz on był inny, młody i zuchwały.
I oni byli tacy sami wszyscy,
Gdy własną ręką Reichstag podpalali
I Dymitrowa oskarżali w Lipsku.

Pali się, pali w Ameryce Reichstag,
Idzie mój sąsiad z żagwią wraz z innymi,
A kiedy pożar się wzmaga, — urasta
I coraz częściej słychać jego imię.
Kiedy nie szczedząc żadnego zbrodniarza,
Lud zdać rachunek każde swoim wrogom,
Gdy mi dawnego sąsiada pokażą,
Powiem: pamiętam dobrze jego młodość!



Na polu bogacza

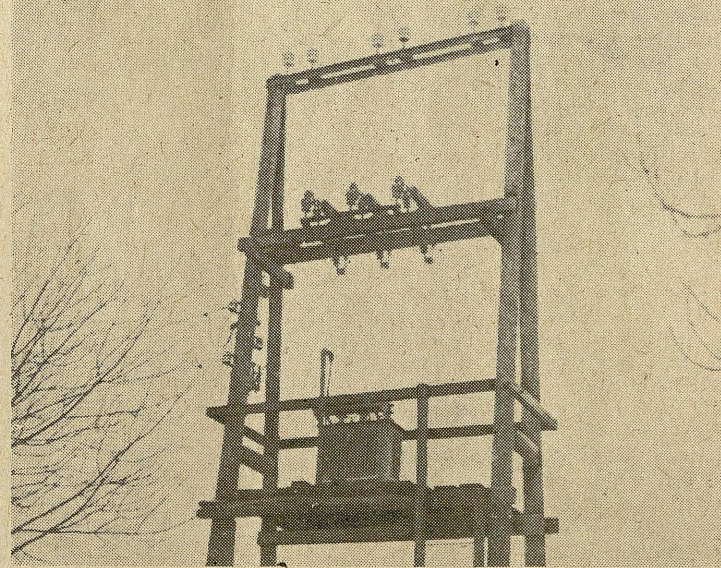
Fot. T. Szewera

cać” teren urządzeniami gospodarczymi i społecznymi, bez żadnych wyskoków, ekstrawagancji. Nie ma skarg, więc uniknięto przesterów personalnych, bo cały referat mieści się w cienkiej teczce zamkniętej na klucz w biurku kierownika wydziału ogólnego.

ku szkolnego, aby pytać o dalszą drogę. W mlg otoczyła nas dzieciarnia zawsze skora do figli i psot.

— Pewnie przyjechał pan zobaczyć nasz nowy budynek szkolny? — upewniał się jeden z chłopów.

— Budujecie szkołę? — spytałem.



Będzie światło w Solcy Różyce i Skromnej. Fot. T. Szewera

dzinki opróżniał swoją stodołę, wywoząc snopy pszenicy i żyta daleko w pole do opuszczonej szopy. Ale spóźniona o całe dwadzieścia cztery godziny młocarnia zajęła na jego podwórko.

— Nic z tego — sztydł Gomański. — Przez rozmiękłą rolę do szopy nie dojeżdżają, I w osiem koni nie da rady, co tam w osiem — dwa nacię nawet nie uciągnie...

Ale zresztą mu miła kiedy kilku dziesięciu chłopów i kobiet zakrzętało się po wsi i zaczęło znosić różnej wielkości deski. Przy tej okazji poleciał w strzępy plot Gomański.

— Zapłaciła nam za te deski — wrzeszczała jego babka, która jeszcze przed chwilą pokazywała chłopom „figę z makiem”. — Ta święta ziemia w pochłonie, bezbożniki...

„Święta ziemia” nie pochłonie ani ludzi, ani ludzi, bo po ulozonych deskach, jak po szynach do-

wiła Rada pomocy trójce gromadzkiej, zelektryzowanej przez bogacza Gomańskiego, nie odszedł z niczym biedniak Władysław Oleczak, któremu zabrakło pieniędzy na zdrenowanie 2-hektarowego pola.

— Do was szybciej dotarła uchwała Rządu i Rady Państwa niż do powiatu — rzekłem. — W jaki sposób zapoznaliście z nią tak szybko mieszkańców gminy?

Na te słowa twarz przewodniczącego obiekła się purpurą. Okazało się, że przewodniczący prezydium GRN, i członkowie Rady jakkolwiek wiedzieli o uchwaleniu dekretu ale na „rozporządzenia” w dół czekali z góry od powiatu. Bo u nich, załatwianie skarg i zażaleń to już codzienna robota. U nich mas ludowych nie trzeba budzić dekretem.

— Ale trzeba je wesprzeć dekretem! Wojciech Drygas

STANISŁAW CIEŚLAK

B I L A N S R O K U 1 9 5 0

(wnioski które trzeba wyciągnąć)

Dokonane już zostało podsumowa-

nie zwycięskich osiągnięć roku 1950.

W wyniku skrupulatnych i żmudnych obliczeń PKPG okazało się, że produkcja przemysłowa Polski wzrosła nie o 20 proc. (jak przewidywał plan) ale o 30,8 proc. w porównaniu z r. 1949. Osiem procent więcej, czyż warto o tym tak wiele mówić? Otóż bardzo warto. Taki jeden procenik — to prawie 170 milionów złotych przedwojennych, a osiem procent to sześć razy tyle, ile wynosiły wszystkie dochody budżetowe państwa polskiego w r. 1938 przed wojną! Dzięki takiemu wielkiemu wzrostowi produkcji przemysłowej osiągnęliśmy w r. 1950 poziom produkcji przemysłowej na głowę ludności trzykrotnie wyższy niż przed wojną.

Wzrost produkcji rolnej w roku 1950 wyniósł nie 6,4 proc. (jak przewidywał plan) a 13 proc. Te siedem procent nadwyżki warte jest co najmniej 400 milionów złotych przedwojennych. Mamy więc dziś około 130 tys. sztuk bydła, około 150 tys. sztuk koni, około 2 miliony sztuk trzody chlewnej, więcej niż w roku 1949. a ziemiopłodów wszystkich zebraliśmy z pól naszych conajmniej o 5 milionów ton więcej niż w roku 1949.

Pociąg towarowy złożony z wagonów 20-tonowych, użyty dla pomieszczenia tych ziemiopłodów, zająłby przestrzeń między Paryżem a Moskwą. Cały zaś nasz dochód narodowy wzrósł nie o 15,2 proc. (jak przewidywał plan) a o 21 proc. to znaczy był o przeszło połowę większy od dochodu narodowego Polski przedwojennej. To znaczy, że dziś około 25 milionom Polaków wystarczy 12 miesięcy czasu na wyprodukowanie takiej ilości towarów i usług materialnych, na której wyprodukowanie przez 32 milionów mieszkańców państwa polskiego potrzebowało 20 miesięcy czasu.

Nad takim wspaniałym, burzliwym iście bolszewickim tempem rozwoju produkcji jak można przejść do porządku dziennego. Trzeba go poddać szczegółowej analizie.

Wysлідźmy więc i zbadajmy tajemnice naszego zwycięstwa. Nie sztuka — mówią niektórzy, było to osiągnąć, bo plan był zaniżony, nietrudny do przekroczenia. W odpowiedzi na to przypomnijmy sobie, że roczny przyrost np. produkcji przemysłowej w Stanach Zjednoczonych w okresie ich najsilniejszego rozwoju przemysłu nie przekraczał 7 proc. w Anglii 2 proc. w Niemczech 4 proc. w Związku Radzieckim (w czasie pierwszej stalinowskiej pięcioletki) 22 proc. Czyż można więc plan na rok 1950 nazwać zaniżonym i nietrudnym planem w kraju tak zaościeranym przed wojną, tak zniszczonym przez wojnę jak Polska? Nie można.

Plan na rok 1950 był planem trudnym, realizowany był w wielkim napięciu, w ostrej walce klasowej; miał wiele dramatycznych momentów, jak skup zboża, jak walka o nowe normy w przemyśle, jak wielka bitwa o wyniki pracy PGR, jak bój o osiągnięcie 2200 spółdzielni produkcyjnych, czyli o uspołdzielczenie co 19-tej wsi w Polsce. I dlatego, że plan był trudny, napięty na wszystkich odcinkach, mógł on masę pracującą zmobilizować do walki o jego przekroczenie.

I to jest pierwsza tajemnica naszego zwycięstwa.

Druga, był masowy rozwój w naszym kraju wielkiego ruchu obronców pokoju. Kiedy Partia rzuciła hasło mobilizacji całego narodu i jego mas pracujących do walki o pokój znaleźli się sceptycy, którzy mówili: po co? Wiadomo: Cóż z tego, że my w Polsce wojny nie chcemy? Ale nie wystarczy nie chcieć wojny, trzeba narodzić pokój. I kiedy na zachodzie Europy, i w Stanach Zjednoczonych wielu robotnikom, chłopom pod wpływem propagandy podżegaczy wojennych opadają ręce (bo czyż warto pracować, jeśli wojna jest nieunikniona), to w ZSRR, w Polsce i w krajach demokracji ludowej ludzie myślą zupełnie inaczej; trzeba i warto pracować, trzeba pracować lepiej niż dotąd, bo tylko praca nasza zabezpieczy nasz ojczyznę i światu całego.



mu pokój. A to jest zasługą ruchu obrońców pokoju, który ze wsi i z miast wydobyl nowe siły społeczne, dotychczas drżące bezużytecznie i użył je w służbie narodu i ludzkości.

Trzecią tajemnicą naszych sukcesów było umocnienie się i pogłębienie w roku 1950 przodowniczej roli Partii i okrzepnięcie sojuszu robotniczo-chłopskiego, podstawy politycznej Partii na wsi. Nie łatwa jest dziś rola podstawowej organizacji partyjnej, nie lekka praca Gminnego czy Powiatowego Komitetu Partii, które obejmują zakresem swojej pracy dzisiaj już prawie wszystkie bez wyjątku sprawy swego terenu. Ale widać wyraźnie, że ten trud bohaterów klasy robotniczej i Partii nie poszedł na marne. Wydawałoby się nieraz, że nie do pokonania, trudności.

S. L., w coraz bliższej i coraz serdeczniejszej łączności z szerokimi masami bezpartyjnych walczą o zbudowanie podstaw socjalizmu — jest tak wysokie przekroczenie zadań planu na rok 1950.

W swej pracy i walce w roku 1950, nie byliśmy sami. O to samo, co my, walczyło w 1950 roku 800 milionów ludzi w Związku Radzieckim, Chinach, krajach demokracji ludowej i nie wiele mniej ludzi pracy w krajach kapitalistycznych. Narastające poczucie międzynarodowej solidarności wszystkich ludzi pracy niepomniejszało zwiększono możliwości rozwoju, a cenny przykład, przyjaźni i braterskiej pomocy Partii Lenina — Stalina i ludzi radzieckich dopomagała nam w przezwyciężeniu wielu, wydawałoby się nieraz, że nie do pokonania, trudności.

I to jest czwarta tajemnica naszego zwycięstwa.

I właśnie dlatego, że plan na rok 1950 był planem trudnym i mobilizującym, że w roku 1950 wzrosła się niesłychanie walka o pokój, że okrzepła Partia i umocniła się i pogłębilo jej kierownictwo życiem narodu, że śmiało i więcej niż w roku zeszłym korzystaliśmy z cennych doświadczeń i braterskiej pomocy Kraju Rad, okrzepła socjalizmu — właśnie dlatego mogły wyrosnąć nowe siły społeczne, nowi ludzie, nowe metody pracy, ujawniły się nowe ukryte dotychczas a wielkie rezerwy w naszej gospodarce, co rzecz jasna, nie mogło się nie odbić na procentach wykonania planu.

Od działaczy jednak terenowych, od całego aktywu politycznego, pracującego na wsi i w mieście, a przede wszystkim od pisarzy i korespondentów robotniczych i chłopskich można oczekiwać w związku z przedterminowym i ponadplanowym wykonaniem trudnych zadań pierwszego roku Planu 6-letniego czegoś więcej.

Chodzi o to, aby w każdym terenie zbadać, jakie to nowe siły społeczne i jacy to nowi ludzie wyróśli w ciągu zeszłego roku, jakie rezerwy i w jaki sposób uruchomiono w swojej gospodarce, w mieście, powiecie dla wykonania i przekroczenia planu na rok 1950?

Abym ten obraz otrzymać, trzeba sobie (i czytelnikom) odpowiedzieć na pytanie. Jak mój teren pracy: zakład przemysłowy, spółdzielnia produkcyjna, wieś, gromada, gmina, powiat — wygląda na tle ogólnego planu czy silniejszy w ogniu, czy na przedzie, czy osiągnęliśmy wyniki wyższe, czy niższe od przeciętnych kraju, i dla czego, czyż wyższe?

Wiemy dziedzinę rolnictwa. Czy w mojej gminie i w moim powiecie rzeczywiście co 19 wieś przeszła na spółdzielczy sposób gospodarowania na roli, czy w moim terenie ludzie są inni niż w powiecie Drawsko w woj. szczecińskim, gdzie dziś w każdej

gromadzie jest już spółdzielnia produkcyjna?

Weźmy do ręki komunikat PKPG. I punkt po punkcie w odniesieniu do naszego terenu przeanalizujmy jego rozdział III: wzrost produkcji rolniczej, zmianę struktury zasiewów, wyniki pracy PGR, plony z ha, wzrost pogłowia, zaopatrzenie w nawozy sztuczne, wyniki kontraktacji itp.

Dopiero wtedy będziemy mogli sobie odpowiedzieć na zasadnicze pytania: czy nadaliśmy za burzliwym nurtem przemian politycznych i gospodarczych, czy pozostajemy w tyle?

I dopiero po takiej analizie, po ustaleniu przyczyn sukcesów lub niedość, możemy przystąpić do ustalenia w terenie planu na rok 1951. Bo taka analiza stworzy dopiero podstawę do oceny ruchu pokoju, działalności Partii, ZSL, ZSCh, ZMP, ujawni stosunek do doświadczeń i osiągnięć radzieckich pozwoli na sumienną analizę faktycznie uruchomionych w moim terenie sił społecznych i rezerw gospodarczych, więc pozwoli się przygotować do dalszego opracowania i wykonania nowego planu na rok 1951.

„Tylko przez powiązanie naszych zadań gospodarczych z zadaniami politycznymi” — pisał B. Bierut w art. „Polska na drodze budownictwa socjalistycznego” — „wzrastać będzie w masach pracujących wola wykonania planu. Trzeba walczyć z tymi, którzy tego nie rozumieją, którzy zbyt często tracą z pola widzenia ten najbardziej istotny fakt, że plan produkcji — to żywa i praktyczna działalność milionów ludzi, którzy pragną tworzyć i tworzą nowe życie. Niewybaczalną ślepotą taką ujawniają się i ograniczeni praktycy, papierkowi biurokraci, którzy poza suchą cyfrą często nie widzą żywego człowieka, nie umieją wczuć się w jego troski i jego społeczne potrzeby i myśli, nie doceniają siły rzeczywiście, a jedynie mas do walki o urzeczywistnienie socjalizmu”.

Stanisław Cieślak

TADEUSZ ORLEWICZ

VIETNAM — KRAJ WALCZĄCEJ AZJI

Na mapie świata goreją zwycięskim, jaskrawym blaskiem coraz potężniejsze ogniska walk wyzwolenczych ludów kolonialnych i półkolonialnych. Rozpalia je odwieczna krzywda, przykład Wielkiej Rewolucji Październikowej, przebudzenie się pod jej wpływem proletariatu w tych krajach i objęcie przez niego hegemonii w rewolucji.

Walki rewolucyjne w krajach azjatyckich — to cios za ciosem w samo niemałe serce skomplikowanego mechanizmu imperialistycznego. Właśnie tam, w koloniach i krajach półkolonialnych, państwa kapitalistyczne znalazły pole do nieograniczonego wyzysku ludzi i rabunku nieprzebranych bogactw naturalnych.

Chiny, kraj 475 milionów, kraj, który w obliczeniach agresywnego imperializmu odgrywał nie tylko rolę szerokiej bazy strategicznej, ale miał być i był przez wiele lat chłonnym i wygodnym rynkiem zbytu różnej tandety, był potężnym rezerwuarem taniej siły roboczej, był terenem, na którym kapital finansowy rozprzestrzenił swoje drapieżne władanie. Lud chiński pod przewodem partii komunistycznej na zawsze przepełnił rodzimych i obcych wyzyskiwaczy. Wielkie Chiny odpadły ostatecznie i nieodwołalnie z kręgu kapitalistycznego rozboju. Dziś lud chiński buduje nowy ład, ład ludowo-demokratyczny bez kapitalistów, bez obszarników, bez „opiekunów” z za Oceanu. Zwycięstwo wolności i postępu w Chinach było obok Wielkiej Rewolucji Socjalistycznej i obok rozgromienia hitlerizmu przez bohaterów Armii Radzieckiej, decydującym o losach świata punktem przełomowym w ostatnim półwieczu. Skutki tego faktu zaważyły bezpośrednio i pośrednio w sposób decydujący na dalszym kształtowaniu się wypadków na ogromnym kontynencie azjatyckim.

Malaje — to główny światowy dostawca kauczuku i cyny. Kraj ten dostarczał jego angielskim władcom olbrzymie ilości dewiz, zapewniając im do niedawna supremację w świecie kapitalistycznym. Dziś Malaje stoją w ogniu walk narodowo-wyzwolenczych. Ekspedycyjne korpusy wojsk brytyjskich toczą wyniszczające walki z potężnym ruchem partyzanckim. Miliony funtów sterlingów poświęca rząd labourystowski na wydatki wojenne. Walka trwa, obywateli życie gospodarcze tego bogatego kraju, którego ludność w potwornych warunkach, pod batem kolonialnych władców i miejscowych kacyków przysparzała dotąd astronomicznych zysków magnatom londyńskim. Dziś zyski te stanęły pod wielkim znakiem zapytania, a niedługo jutro pokaże, że pomimo wieloletnich korpusów ekspedycyjnych kauczuk malajski i cyna malajska przestaną służyć na zawsze imperialistom.

Korea, barbarzyńsko niszczone przez amerykańską agresję, to ważna baza strategiczna dla imperialistycznych kłownów, najpierw japońskich a obecnie amerykańskich. To jednocześnie kraj, w którym zlo-



Polityka francuska w walce z demonstrantami w Saigonie. Foto — API

to, miedź, wolfram, bauxyt, węgiel i ruda żelazna stanowią bogactwo nie do pogardzenia. Bohaterski lud Korei pod przewodem swego proletariatu przepędza skutecznie ze swojej ziemi imperialistycznych napastników, którzy ubrali się w znaki ONZ, a czynami swymi przestają najbardziej wyrafinowane metody zwyrodniałych hitlerowców. I znowu nowy kraj wypada z kręgu kapitalistycznego wyzysku.

Oto Indonezja, zrywająca się do walki przeciwko władcom kolonialnym i ich rodzimym marionetkom. Kraj bogatych pokładów naftowych, wielkich pól kauczukowych, Holendrzy w spółce przymusowej z Amerykanami próbują bezskutecznie za parawanem Stanów Zjednoczonych Indonezji prowadzić swój grabieżczy interes. I tu usuwają się na grunt z pod nóg. Gniew ludu zaraża wojska rządowe, których bunt przeciwko polityce grabieży i rozboju są na porządku dziennym.

Oto Filipiny, pozostające w amerykańskim władaniu z fikcją niepodległości, wyspy o poważnym znaczeniu strategicznym i dużych zasobach miedzi, złota i węgla. Tu także ruch rewolucyjny, mający za sobą podobnie jak w innych krajach azjatyckich piękne tradycje walk z japońskim najeźdźcą, wyrwało od wewnętrznych krzyk, zaciągnięte nad narodem przez wasyngtonskich i nowojorskich monopolistów.

Oto Indie, kraj 370 milionów ludzi, kraj legendarnych bogactw naturalnych garstki i przerażającej nędzy

milionów, kraj niesamowitych dysproporcji, w którym narastają siły rewolucyjne wśród proletariatu fabrycznego i wśród pracującego chłopstwa. Oto Japonia, w której imperializm amerykański restauruje militarizm i faszyzm, a w której jednocześnie mimo terroru i mimo prześladowań krzepnie proletariatu, walczący o wolność od obcych i rodzimych ciemiężczyli.

Gdziekolwiek nie spočnie oko na mapie Azji, wszędzie lud podnosi się do walki, walkę tę prowadzi, likwidując władanie kolonialne i usłusznych lokajów imperializmu rekrutujących się spośród miejscowej magnaterii, burżuazji, spośród zdrajców narodu.

Pierre Naville, postępowy dziennikarz francuski, w swojej książce o wojnie w Vietnamie^{*)}, podaje wiele bardzo ciekawych szczegółów kuliśców brudnej wojny, którą burżuazja francuska od pięciu przeszło lat prowadzi w tym kraju. Książka jest zbiorem artykułów napisanych w okresie od marca 1947 roku do lutego ubiegłego roku. Stanowi ona jednak zwarta całość tym cenniejsza, że rejestrująca niemal na gorąco fakty i sprawy.

Warto sobie przede wszystkim przypomnieć, że Vietnam (Kraj Południa) jest niewiele większy od Polski, a jego ludność liczyła do niedawna około 22 milionów ludzi. W tej liczbie było „aż” 35.000 Francuzów.

*) Pierre Naville, Wojna w Vietnamie, Warszawa, 1950. Wydawnictwo Prasa Wojskowa. Stron 255.

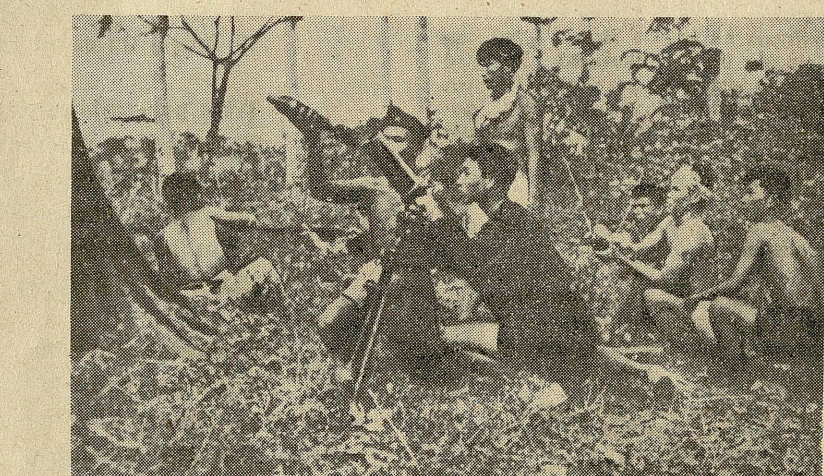
W rolnictwie pracuje 90 proc. ludności kraju. Lasy i plantacje całkowicie, a pozostała ziemia w 2/3 należała do miejscowych obszarników, francuskiego Banku Indochińskiego i potężnych zjednoczeń francuskich plantatorów. Na plantacjach pracowało co najmniej milion robotników. Za niezwykle ciężką, wielogodzinną pracę najęzcie przekraczającą 16 godzin, otrzymują oni płacę dwunastokrotnie niższą niż robotnicy francuscy. Gospodarka chłopska niezwykle rozdrobniona, a wielomilionowa masa chłopska omotana była wyczerpującym systemem pożyczek od różnych spekulatorów i lichwiarzy, nie była też pewna ani dnia ani godziny, czy posiadane przez nich od wieków grunty nie staną się własnością miejscowych obszarników lub francuskich plantatorów.

Ziemia była traktowana przez francuskiego najeźdźcę jako ziemia nieczyja. Stąd też chłop annamicki, wczoraj jeszcze właściciel własnego kawałka ziemi, budził się następnego dnia jako dzierżawca swojego własnego gruntu, zobowiązany do

niewolnictwem. Proletariusz tonkiński i annamicki pochodzenia chłopskiego wolał w nędzy uprawiać rolę niż ugiąć się pod galerniczym systemem pracy wielkoprzemysłowej, zastosowanym przez francuskich najeźdźców.

Trzeba było oporu, walk i ruchów strajkowych pomiędzy rokiem 1925 i 1940, trzeba było jednoczenia się szeregow robotniczych i pracującego chłopstwa wokół partii komunistycznej, aby wydrzeć kolonialnej administracji pewne ustępstwa. Pod wodzą partii komunistycznej proletariatu Vietnamu chociaż słaby liczebnie, chociaż reprezentujący zaledwie niecałe 2 proc. ludności kraju, podejmując nieustępliwą walkę o wolność od wyzysku imperialistycznego, o wolność od rodzimych i obcych wyzyskiwaczy, o wyzwolenie narodu i społeczne.

Politykę kulturalną władz francuskich najlepiej ilustruje fakt, że na utrzymanie bibliotek przeznaczają one 30.000 piastrow indochińskich, nota bene emitowanych przez prywatny bank francuski, Bank Indochi-



W ćwiczebnym obozie powstańczej armii Vietnamu. Foto — API

placenia francuskiemu Bankowi Indochińskiemu czy jakimś Francuzowi czynszu dzierżawnego, dochodzącego bardzo często do 75 proc. ogólnych zbiorów z tego pola. Mało tego, chłop w Vietnamie stał wobec faktu, że jego własny wczoraj inwentarz żywy stał się jutro własnością nowego właściciela, a chłop obowiązyany był do pilnowania i żywienia tego inwentarza.

Przemysł w Vietnamie był niezwykle słabo rozwinięty, chociaż kraj ten ma liczne bogactwa naturalne jak węgiel, rudę żelazną, fosforyty, cynk, cynę, wolfram. W przeddzień wojny było w Vietnamie około 300.000 robotników wielkoprzemysłowych.

Klasę robotniczą Vietnamu cechowała przede wszystkim niezwykle ruchliwość. Tłumaczy się to niezwykle arbitralnym systemem administracyjnym, niskimi płacami, bestialskim traktowaniem, urągającymi prymitywnym wynagrodzeniom higieny warunkami pracy. Praca robotnika w Vietnamie połączona była niemal z

ski, natomiast, na zakup i rozprowadzenia trucizny, jaką jest opium fajkowe — aż 4 miliony 500 tysięcy piastrow. Przez cały okres francuskiego panowania zbudowano 31 szpitali dla Francuzów i bogatych tubylców, natomiast 81 wieźni i obozów koncentracyjnych, w których byli wprawdzie Francuzi lub członkowie miejscowej burżuazji, ale w charakterze dozorców.

Niewiele miała kolonialna administracja francuska przyjaciół w narodzie Vietnamskim, nie znalazła też wielu, na których mogłaby się oprzeć. Szumne tyrały reakcyjnej prasy francuskiej o tym, że Francja stoi w Vietnamie na zaufaniu „prawdziwych Vietnamczyków” okazały się znacznie szybciej, niż to oczekiwano, zwykłym oszustwem. Ci „prawdziwi Vietnamczycy” to byli dla burżuazji francuskiej bogaci annamscy plantatorzy i bardzo nieliczna wielkomejsowa burżuazja kompradorska. To oparcie było tak mizerne, że dla formowania marionetkowego rządu francuscy kolonizatorzy musieli wer-

bować skompromitowanych kolaborantów japońskich, musieli sięgać po Bao-Daję, znanego ze swoich hulawczych eskapad w paryskich lokalach nocnych i całkowicie obcego narodowi Vietnamu.

Od dwudziestu pięciu lat kieruje walką ludu vietnamskiego partia komunistyczna. Ruch narodowo-wyzwolenny narastał stale, rozwijając się ze szczególną siłą w czasie drugiej wojny światowej. Rząd Petajina i Laval, rząd uległy Hitlerowi, zgodziły się na to, aby Japończycy zajęli w pierwszych latach wojny półwysep Indochiński. Oznaczało to bankructwo panowania francuskich imperialistów. Słabość ich zdecydowała o dalszych losach Indochin.

A przecież Indochiny były złotym jabłkiem dla burżuazji francuskiej. Na kolosalne dochody kapitalistów składały się czynsze za ziemię, różne bezpośrednie i pośrednie podatki, rozliczne daniny, rabunek siły roboczej, operujący się na niewiarygodnie niskich płacach i w związku z tym dający bardzo niskie koszty własne. Tanie produkty i towary indochińskie były sprzedawane w krajach azjatyckich i we Francji bardzo drogo, a narastająca marża zysku przypadała monopolistom z nad Sekwany. Jednocześnie Indochiny były wygodnym rynkiem dla zbytu towarów francuskich, były też dostawcą cennych i rzadkich surowców, bardzo poszukiwanych przez przemysł metropolii francuskiej.

Vietnam we władaniu francuskim jest przykładem bezprzykładnego panoszenia się nie tylko administracji kolonialnej, ale prywatnych koncernów i banków, które miały tyle wspólnego z dobrem Francji, co Truman z demokracją. Pod sztandarami francuskimi żerowały różne hieny kapitalistyczne, nadużywając dobrego imienia ludu, który wydał z siebie Thoreza i wielu innych bohaterów o postępie i demokrację.

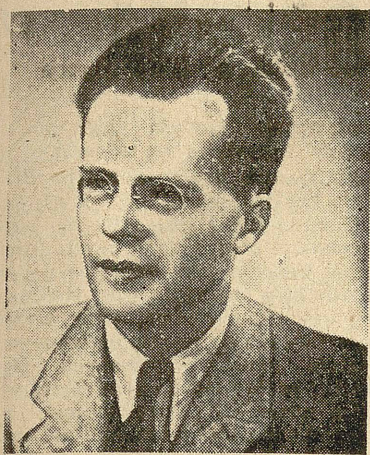
W Vietnamie rządził gubernator francuski z ramienia rządu, oficjalnie miał on do dyspozycji całą administrację kolonialną, policję i wojsko. A jednak całość gospodarki vietnamskiej nie była kontrolowana faktycznie przez niego, ale przez Bank Indochiński z siedzibą w Paryżu, którego akcjonariuszami byli najbardziej wypróbowani w grabieży i rabunku przemysłowcy i bankierzy. Bank ten przy kapitale zakładowym 120 milionów franków dysponował ostatnio majątkiem, ocenianym na 120 miliardów franków. A zatem w ciągu niewielu lat majątek tego banku przewyższył tysiącokrotnie kapitał zakładowy.

Jakimi metodami doszedł do tego? Wystarczy wspomnieć, że Bank ten posiadał wyłączne prawo emitowania krajowych (vietnamskich) pieniędzy (piastrow), że utrzymywał własne wojsko i własną policję, przed którą wielokrotnie musieli ustępować policja gubernatora. Bank ten kontrolowany jedynie przez swoich własnych akcjonariuszy, decydował o cenach i płacach, bez żadnych obiektywnych zajmował ziemię chłopską pod swoje

(dokończenie na str. 7)

HELENA ŻABIKÓWNA

OPOWIADANIA O DNIACH PRZEŁOMU



Władysław Dunarowski

Notatka drukarska ostatniego tomu opowiadań Władysława Dunarowskiego wyznacza „datę wykonania” na wrzesień 1949 r. Innych dat zabrakło jednak w książce: dat, określających dokładniej odległy już, jak domyśla się czytelnik, czas powstania poszczególnych pozycji tomu. Bez tych dat trudno bowiem nieraz uświadomić sobie, że zawarte w tomie „Cieśzar ręk” opowiadania, niezależnie od uderzających dziś błędów, odegrały w swoim czasie pozytywną rolę, podejmując w pewnej, choć ograniczonej mierze, zadanie zobrazowania przemian, jakie przyniosła wsi polskiej pamiętna wiosna 1945 r.

Podjęcie tego zadania i sugestywne skonstruowanie udręceń, nędzy, beznadziejności życia chłopów mało-rolnych i proletariatu wiejskiego w systemie kapitalistycznym z radosnym rozszerzeniem możliwości życiowych, jakie dała biedniakowi już w pierwszych dniach swego istnienia Ojczyzna chłopsko-robotnicza, to niewątpliwie plusy książki Dunarowskiego. Więcej kłopotu sprawia jednak prawdziwa ocena poważnych błędów i braków tomu opowiadań.

Nowe te powstały jeszcze w latach zamętu ideowego w naszej literaturze, w okresie, gdy nie podjęto jeszcze na całym froncie zdecydowanej walki z tradycjami malomieszczańskiej literatury 20-lecia, gdy postulat realizmu socjalistycznego nie zostały jeszcze opanowane przez pisarzy i krytyków. Dlatego też błędy książki należy składać nie tylko na rachunek pisarza, ale i ogólnej sytuacji naszego życia literackiego pierwszych lat powojennych. Niemniej jednak przejść nad nimi do porządku dziennego nie można.

Autor działał niewątpliwie „wbrew własnym interesom”, decydując się na wydanie zbioru swych dawnych nowel bez próby zneutralizowania ich wymowy ideologicznej żadnym utworem obrazującym dojrzały etap przemian wsi w Polsce Ludowej i świadczącym o dojrzałym i twórczym przemysleniu postulatów realizmu socjalistycznego przez jego twórcę. W r. 1950 — tj. w roku praktycznego ukazania się tej książki na rynku czytelnicy — była ona już bowiem utworem „historycznym” — ale nie w najlepszym rozumieniu tego słowa.

Tom opowiadań Dunarowskiego za notował jedynie wstępny, przygotowawczy etap naszej drogi do socjalizmu — o to jednak trudno mieć do autora pretensje. Najzupełniej usprawiedliwione pretensje dotyczą natomiast innych spraw. I tak, by wymienić tylko najpoważniejsze: po pierwsze — autor etap ten ukazał w fałszywym świetle, naruszając poważnie hierarchię ważności przemian i, co równie istotne, nie umieszczając do końca właściwych w nich perspektyw dalszego rozwoju; po drugie — klasowe w założeniu widzenie rzeczywistości nie zostało konsekwentnie przeprowadzone w obrębie wszystkich nowel, często ustępuje ono jakiejś solidaryzacyjnej „chłopskości”, na skutek tego nie zdołał Dunarowski właściwie postawić sprawy dworu, czy inteligencji w środowisku wiejskim, następne tego tak fałszywie wypadły sprawy okupacji; po trzecie wrzesień, — autor uczynił swych ludzi jedynie biernymi przedmiotami przemian historycznych, nie ukazał ani jednego człowieka, któryby dorósł do przemian, który by był ich aktywnym twórcą — ten poważny błąd, nieważący w dużej mierze typowości bohaterów książki Dunarowskiego, nie tylko pozbawił ją tak podstawowego elementu, jakim jest świadomość, walczący człowiek i jego twórcze działania, ale też zadecydował o powstaniu poważnej rysy konstrukcyjnej w większości opowiadań tomu.

Tematyka książki Dunarowskiego, będącej zbiorem jedenastu opowiadań, obejmuje okres okupacji i pierwszych lat niepodległości w Polsce Ludowej. Opowiadania te, ułożone w książce chyba zupełnie przypadkowo, mają dać obraz wsi podkarpackiej w latach wielkich, zasadniczych przemian. Poza nielicznymi wyjątkami („Ofiarowanie” obrazujące zaołanie chłopskiego życia w dwudziestolecie, czy „Górska pieśń”, ukazująca życie wysiedlonego inteligenta na wsi w okresie okupacji) wszystkie dotyczą właściwie jednego, głównego problemu: przeludnienia wsi, beznadziejnej sytuacji materialnej biedoty wiejskiej oraz znaczenia Ziemi Zachodniej stwarzających dla owej biedoty zupełnie nowe możliwości uzyskania niezależności ekonomicznej.

• Władysław Dunarowski, „Cieśzar ręk”, Wydawnictwo Ludowe, 1949.

Okres okupacji potraktowany jest raczej powierzchownie i nie tyle stanowi w opowiadaniach Dunarowskiego problem ile tło dla problemu, podkreślenie przełomu, jaki stanowiło dla życia wiejskiej wsi przyłączenie Ziemi Zachodniej. To bowiem jest dla Dunarowskiego najbardziej istotną, a przynajmniej najbardziej przekonywającą treścią przemian, jakie przynosi Polska Ludowa. Wzrost parobków i służących, gód ziemi, spogłogowany ciągły rozdrabnianiem gospodarstw, panowanie kulactwa i uposiedzenie biedoty, najbardziej powikłane sprawy osobiste bohaterów — wszystko to daje się rozwiązać odrzuć i całkowicie przy pomocy cudownego środka: przesiedlenia, uzyskania gruntu, narzędzi, inwentarza na Zachodzie, Ziemi Odzyskanej, które wchłonęły w dużej mierze biedniackie rzesze przeludnionej wsi polskiej, były istotnym bynajmniej jednak nie podstawowym czynnikiem przebudowy naszej wsi. Sama akcja przesiedlenia mogła być zbawieniem w indywidualnym wypadku, mogła na pewien czas stłuszać jaskrawość konfliktów klasowych na wsi — o jej historycznym znaczeniu decydowały jednak niedostrzeżone przez autora — a przynajmniej nie występujące w konstrukcji jego opowiadań „drobiazgi”: powstanie wsi ludowej, reforma rolna i likwidacja obszarnictwa, nacjonalizacja przemysłu i początki planowej odbudowy i przebudowy naszej gospodarki, opieka państwa nad chłopstwem pracującym i przykrociecie cugli kulactwa — nade wszystko jednak wielkie perspektywy socjalizmu, perspektywy spójności i jednolitości państwa, karykaturalne przesunięcie propozycji w opowiadaniach Dunarowskiego stwarza ze sprawy Ziemi Odzyskanej fantastyczną bajkę z tysiąca i jednej noty. Są to ziemie niekiedy i młodem plynące, o jakichkolwiek trudnościach nie słyszymy prawie aż do momentu ich przewyżczenia, gdy minione troski służą już tylko jako kontrast uwidaczniający obecny błogostan. To już nie optymizm — lecz powierzchowność widzenia spraw życia i lekkość wyminianie konfliktów.

Klasowa koncepcja „sprawiedliwości” — która w metodach działalności naśladowała dobrą wrótkę, obdarzając „podstarłego” Kopełuszkę — zharmonizowaną kulacką Wikłę — całym królestwem, („dom ma mury, pokój, dywany na podłogę, firany w oknach...”) zmusza pisarza do szeregu poważnych niekonsekwencji. Deklaratywnie stawia Dunarowski nie tylko nie usprawiedliwioną treścią jego nowel, że przesiedlenie „nie wyzwolił psychikę chłopów” z przekleństwa niewoli „morgów”, że pozwoli im „swobodnie decydować o swym losie, „Nareszcie człowiek jest wolny!” bo... „na Ziemiach Odzyskanych jest gruntów dosyć”. Autor nie dostrzega, że w jego koncepcji ta „wolność” to tylko ułup w więzieniu na okres przejściowej „wędrowności ludów”. Jeżeli dzieł Ludwika będą naprawdę wolne, to nie dzięki rozległości nadodrzańskich ziem obiecanej, a zapewne nie też nie zdołaliby powstrzymać Wikły, nowej pani na dywanach firankach i dwudziestu morgach, od nabycia najbardziej upragnionego sprzętu — służącej na której mogłaby „odbić” sobie lata poniewierki w kulackiej służbie, — gdyby straż nad szczęściem człowieka nie objęły owe niedocenione „drobiazgi” naszej walki o socjalizm.

Uboństwo elementów nowego życia, dostrzeżonych przez pisarza pociągając za sobą ubóstwo treści nowel Dunarowskiego. Problemy powtarzają się wielokrotnie, warianty nie wnoszą w zasadzie nic nowego. Schemat jest najczęściej podobny: bardzo źle warunki materialne biedoty, próba zaprzeczenia im przez jakieś półśrodek (np. przez odpowiednio skalkulowane małżeństwa z morgami, krową, czy lasem) i wrzesień radykalna zmiana — wyjazd na Ziemię Zachodnią gdzie mogą spokojnie pracować starzy rzemieślnicy („Cieśzar ręk”) i szczęśliwie małżeństwa kojarzone już nie ze względu na jakość i ilość gruntów („Wikłene sprawy”), „Dni oczekiwania”, „Zycie się zaczyna”). Mimo obfitości realiów ubogi i schematyczny jest też obraz życia chłopskiego w czasie międzywojennym i w czasie okupacji. Chłop Dunarowskiego to pracowny zwierze robocze dreczy się, martwi, haruje, pragnie tylko jednego — zapewnienia egzystencji. Najwyraźniej zaznaczone jest to w dwóch opowiadaniach „Za grabiami” i „Dzień Hanki”. Chłopska walka o byt przedstawiona jest w dużej mierze w kategoriach naturalistycznych, pozbawiona wyraźnych akcentów walki klasowej. Autor przedstawia wyraźnie grupę bogaczy i biedoty wiejskiej, ale na tym przeciwstawieniu się też wszystko kończy.

Konflikty klasowe wsi nie przybierają nigdy charakteru politycznego. Życie wsi oddzielone jest chłamskim murem od jakiegokolwiek rozumienia spraw politycznych. Widac to najwyraźniej w migawkach okupacyjnych. Chłopi biorą aktywny udział w ruchu podziemnym, ale potrzeba określenia charakteru stałe anoniowych organizacji konspiracyjnych i oddziałów leśnych nie zmusza nie tylko bohaterów opowiadań, ale co gorsza i samego autora, do wyjaśnienia poza termin „ci z orzekłami”, „Benek” — zbuntowany parobek kulacki, słaby projekt na politycznego bohatera jest w „jakiejsi” przyznanie, nie różni się jednak w swych obyczajach od bandyty, skoro sprawiedliwość społeczną wymierza sobie, obrabowując dawną gospodynię.

a przy okazji zabierając i przydziełek służący.

Gospodyni „Benka” nie rozumie sensu zadawania się z „leśnymi”, ale nie jest to bynajmniej typowe stanowisko kulackie u Dunarowskiego. W „Górskiej pieśni” ukrywający się we wsi inteligent na skutek mądrej polityki swego gospodarza-bogacza „dorasta” przeciw do roli jego parobka i do udziału w leśnych akcjach spełnianych za życiową aprobatą tego kulaka.

Tematyka okupacji jest jednak stosunkowo najbardziej jeszcze „upolityczniona”. Żadne nici nie prowadzą na miast od jej spraw do sytuacji wsi po wyzwoleniu, dlatego też tak ubogi jest obraz pierwszych dni Polski Ludowej w tomie Dunarowskiego. Klasa faszystowska, wyzwoliłowska rola Armii Czerwonej, są gładka wyzyskiwaczy, wszystko to są rzeczy niepojęte dla chłopów w koncepcji Dunarowskiego. Wolność bierze się skądś, bo się po prostu wojna kończy, a po wojnie dzieją się rzeczy niesłychane, gdyż gdzieś dają chłopom morgi za darmo. Chłopi Dunarowskiego rozumieją tylko to, a na wszystko inne są zupełnie głusi — nie też dziwne, że nie dowiedzieliśmy się niczego ani o akcji pierwszych działaczy wiejskich, ani o dywersyjnej robocie kulactwa, że nie usłyszelśmy ani jednej dyskusji chłopów, usiłujących zadać sobie sprawę z kierunkiem i wagą wielkiego przewrotu, nie dostrzegliśmy ani jednego konfliktu między perspektywami „nowego” a nawykami tysiącletniej roli chłopskiej — poza fałszywie typizowanym, naciganym konfliktem Ludwika: „dziewczyna czy krowa”. W jednym tylko opowiadaniu „Wesele w Łazach” okazuje się, że życie jest nie tylko na Ziemiach Odzyskanych, ale i w starej wsi coś się zaczyna ruszać. Cóż, kiedy i tu nie polazł nam autor ani jednego człowieka, który by dorósł do zadań chwili historycznej. Bo „chłopskość” Feliksa i jego kursy buchalteryjne w czasie wojny to stanowczo zbyt mały bagaż ideowy jak na działacza „Samopomocy Chłopskiej”.

Pocucie krzywdy klasowej nie doprowadza żadnego z bohaterów Dunarowskiego do zrozumienia konieczności walki i do podjęcia jej w ramach opowiadania, a wyładowuje się tylko w odruchach nienawiści, rozgoryczenia, zadróżki, w marzeniach o osiągnięciu pozycji społecznej gniebieli. Anonizacja — i postawa chłopów wobec nowej rzeczywistości to zdumienie, niedowierzanie, radość — nigdzie jednak nie świadome współdziałanie, aktywne uczestnictwo w budowaniu nowego życia — przy najmniej „nigdzie” nie staje się to centralnym, konsekwentnie przeprowadzonym problemem opowiadania. Działanie ludzkie nie jest osi konstrukcyjną utworu, małość, naturalistyczna przeciętność i nietypowość bohaterów nie może skupić uwagi czytelnika na ich marnych konfliktach i nieważnych przełomach duchowych. Dlatego też nieoczekiwana cudowność losu, przyniosząca chłopom podgórskiej wioski Ziemię Odzyskaną to właściwy punkt ciężkości niemal każdego z utworów, co musiało się w niezbyt korzystny sposób odbić na ich kompozycji. Przyjebia to szczególnie w opowiadaniach obejmujących okupację i czas powojenny. Nie umiając pokazać zdecydowanie przemian wprowadzonych początkowo postaci, autor wplata do opowiadania drugą część, nowe postacie, nowe sprawy w ten sposób starając się przekonywująco uzasadnić zmianę.

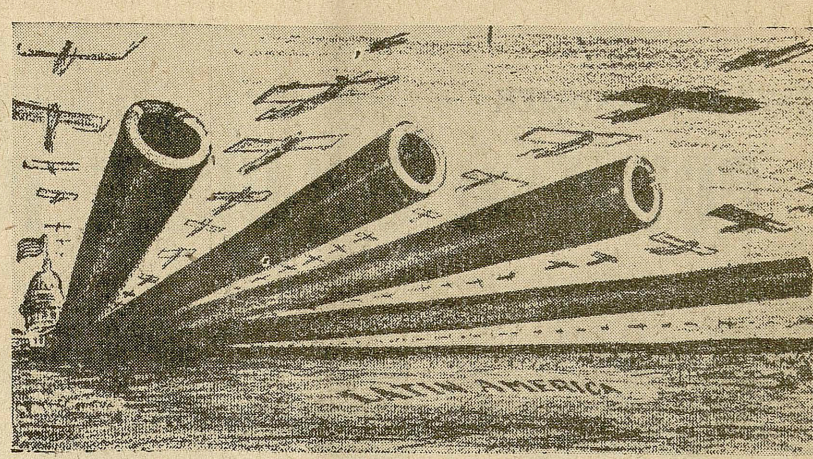
Są też w jego opowiadaniach ogromne uproszczenia. Najjaskrawiej widac to w opowiadaniu „Co z ciebie będzie, dziewczyno”. Na czterech stronach pomieszczył Dunarowski całą historię dziewczyny pasającej krowy, która swoim uporem i pasją do nauki przełamała wszystkie przeszkody jakie miało do pokonania dziecko jakiegoś pragnące się uczyć w okresie sanacyjnych rządów. Kompozycyjna niewspółmierność historii przy pasjonie i lat wysiłku w zdobywaniu nauki, zbytych kilkoma zdaniem, operetkowy chwyt z nieporozumieniem co do osoby młodej dyrektorki gimnazjum wiejskiego — wszystko to jest uproszczeniem i wielkim załozeniem poważnego problemu awansu społecznego i nowej funkcji oświaty ludowej.

Przełom na wsi polskiej, jaki chciał pokazać Dunarowski w swoich opowiadaniach, nie został ujęty właściwie, Dunarowski zna więc, wie dużo o drobnych realiach życia chłopskiego, ale nie potrafił zobrazować najistotniejszych jego problemów. Bardzo sugestywnie maluje ciężkie życie biedoty wiejskiej, przejmująco mówi o ciężarze ręk spracowanych parobków i wyrobników. Opowiadania ukazują wieś od strony spraw gospodarskich, małżeńskich, od strony codziennych kłopotów i trosk. A taka wieś, a wsi nie tylko nie wystarczy, lecz ograniczenie się do niej prowadzić może na manowce naturalistycznego skrzywienia rzeczywistości. Istotny problem wsi współczesnej przeoczył Dunarowski, przeszedł mimo niego. I dlatego obraz życia w jego opowiadaniach jest nie tylko niepełny, ale i fałszywy. Czekamy na nową książkę Dunarowskiego o sprawach nowego życia chłopskiego, która z wyższego etapu rozwoju literatury polskiej ukaże te wielkie perspektywy przyszłości naszej wsi, jakich zabrakło w tomie jego starych opowiadań.

Helena Żabikówna



J. Burell — „Naga prawda”



Fred Ellis — „Linie powietrzne”

FRANCISZEK ZAWADA

MAC ARTHUR EUROPE

Do Europy Zachodniej zjechał amerykański namiestnik, łowca głów dla awanturniczej imprezy. Gauleiter Truman, generał — rektor, D. D. Eisenhower, człowiek mafii imperialistycznej odbył swoją podróż inspekcyjną w szczególnie szybkim tempie. Gdziekolwiek przybył, musiał czym prędzej wyjeżdżać. Krążył przez kilka dni po Europie jak potępieniec, gnany z miejsca na miejsce przez gniew ludu, prawdziwego gospodarza krajów, dławionych przez imperializm amerykański i imperializm rodzimego chłwa.

W Paryżu Eisenhower miał przygotowany hotel „Astoria”. W tym właśnie hotelu Wilhelm II chciał zjeść pierwsze śniadanie, kiedy zdawało mu się, że wojna w roku 1914 zakończy się, zanim liście opadną z drzew. W czasie drugiej wojny światowej „Astoria” gościła ówczesnych hitlerowskich gauleiterów Paryża i takich zbrodniarzy wojennych, jak Mannstein, Rundstedt, Guderian, którzy uwolnieni dziś przez Amerykanów z więzień oczekują na powrót do Francji tym razem w charakterze doradców Eisenhowera do spraw ludobójstwa. Okazuje się więc, że zapewne wbrew intencjom usłużnego rządu francuskiego dobrze został wybrany hotel, w którym miał zamieszkać nowy gauleiter spod znaku dolara.

Nie mógł jednak Eisenhower dostatecznie zapoznać się z luksusowymi urządzeniami tego hotelu. Lud francuski tak dobitnie zademonstrował, co myśli o generale — rektorze i jego moccadawcach, że jego pobyt w stolicy nadsekwanskiej ograniczył się do paru zaledwie godzin. Witali go i zegnali zandami amerykańscy, uzbrowione po zęby spalery policyj francuskiej, grupka „policjantów” i innych „cywilów”, których właściwym zawodem jest po prostu szpiclowanie.

A lud francuski, zwarty w obronie zaprzędanej dolarowi suwerenności, zwarty przeciwko okupacji Francji przez amerykańskie żołdactwo, jednolity w walce o pokój i wyzwolenie kraju spod krowa imperialistycznych, witali wystawnika Truman strajkami i demonstracjami w Paryżu, w Bordeaux, w La Pallice, wszędzie jak Francja długa i szeroka. Do hotelu „Astoria” dał konferencyjnych, w których Eisenhower, uderzając pięścią w stół, dyktował swoje żądania sprzedawcom rządowi i francuskiej kłice wojskowej, docierał gniew ludu, rwał rozmowy.

Eisenhower, go home! Precz do Ameryki! Rece precz od Francji i ludów Europy! Z takim przyjęciem spotkał się Eisenhower i w Paryżu i w Brukseli i w innych stolicach krajów zmarszalizowanych. Musiał się potężnie zmęczyć tym pośpiesznym odwiedzeniem wasalnych rządów, skoro w Londynie zamknął na cztery spusty. Nie raczył nawet w wyznaczonym dniu przyjeżdżać wysokich dygnitarzy Jego Królewskiej Mości. Pan generał odpoczywał. Ale i tutaj nie zasnął spokojnie. Lud Londynu przyjął go podobnie jak lud Paryża czy Brukseli.

W Rzymie usłużny de Gasperi zmobilizował oddziały specjalne, czołgi, karabiny maszynowe, cały aparat terroru. A jednak i we Włoszech na przyjazd Eisenhowera lud podniósł pięść gniewu, zatrzymał produkcję, stanęła komunikacja. Lud wyległ na ulice. Posypały się strzały, oddane w tłumy manifestantów. Zabici i ranni — oto pierwszy sygnał, jaki nie-Europy namiestnictwo amerykańskie. Represje rozwiścieczonych rządów marszałkowskich — oto przedsmak amerykańskiego „stylu życia”. Podwyższenie wydatków na zbrojenia — oto dań złożona przez usłużne parlamenty molochowi imperialistycznemu kosztem ludu pracującego miast i wsi. Nowe wyższe ceny w Anglii, we Francji, w Szwecji, wzrost bezrobocia — to następstwa kapitałnictwa narodowego.

Eisenhower kończy swój objazd po Europie wizytami w Niemczech, Zachodnich, i powtórna w Paryżu. Zamierzał odwiedzić Papieża, wernego spóźnieraacza neofaszystów spod znaku olara. Rozmawia z uwolnionymi zbrodniarzami, winnymi zbrodni ludobójstwa, projektował rozmowy z faszystowskimi władzami Portugalii, z królowym Franco. Czuje się z nimi lepiej niż z innymi swoimi wasalami. Ale tu, jak gdzie indziej, lud nie chce rozmawiać z Eisenhowerem. Głos ludu i w Portugalii i w uwięzionej Hiszpanii i w oszukanych Niemczech Zachodnich jest wszędzie jednaki.

A przecież objęcie namiestnictwa przez generała — rektora było staraniem od dawna przygotowywane. Najpierw był plan Marshalla, który miał

za zadanie zwałić na kolana przed dolarem życie gospodarcze i polityczne wielu krajów Europy Zachodniej. I zrobił on swoje, niszcząc kraje wasalne. Po tym jak zwykłe bywa w zawodzie gangsterskim „dobry” Wuj Sam przystawił swoim europejskim satelitom rewolwer do głowy, wzywając na pomoc ograny straszak „bolsewickiego niebezpieczeństwa”. Powstał pakt północno-atlantycki, pakt agresji przeciwko pokojowi i ludzkości. Po tym przyszła konferencja brukselska i runęły resztki suwerenności krajów marszałkowskich. Truman dał w swoim wystąpieniu przy ogłaszaniu tzw. pogotowia narodowego szczególnie historyczną i nerwową oprawę całej imprezy. Zdawało się więc, że nadesza odpowiednia chwila dla ostatecznego okietnienia Europy Zachodniej przez imperializm amerykański, tym bardziej, że uwolnieni zbrodniarze wojenni spod znaku Hitlera stanęli do dyspozycji podlegających wojennych.

Europa Zachodnia otrzymała zatem gauleitera tak bowiem tylko można określić stanowisko Eisenhowera z tytułu uprawnień, jakie otrzymał z woli Waszyngtonu, jako naczelny dowódca atlantydy. Eisenhower wybrał się do Europy, aby przede wszystkim ustalić odpowiednie dla apetytów amerykańskich kontynentów mięsa armatniego, ponieważ Trumanowi nie podobają się zadeklarowane przez rządy krajów zmarszalizowanych ilości dywizji i pułk wydatków na zbrojenia. A tymczasem wizyty Eisenhowera nie tylko nie przyniosły podwyższenia kontyngentów, ale rozwały resztki złudzeń co do tego, że armia atlantycka pozostała i pozostanie armia cieni, armia bez żołnierzy.

Lud Europy Zachodniej dał zgodną i mocną odpowiedź. Dał też odpowiedź nie tylko Eisenhowerowi, ale również całej zgrai rodzimych i zapoczątkowanych podlegających wojennych. Podstawowe rzesze ludzi pracy krajów zmarszalizowanych mają szczególne powody do tego rodzaju odpowiedzi. Na własnej skórze dotkliwie odczuwają „opiekę” amerykańską, „kulturę” amerykańską i amerykański styl życia.

We Francji szereg podstawowych gałczy przemysłu skurczyło swoją produkcję na rozkaz Wall-Street. Bezrobocie zbiera swoje ponure żniwo. Coraz trudniej żyć i wyżyć robotnikowi oraz pracującemu chłopstwu. Wzmagające się podatki całym stwum ciężarem spadają na barki pracujących, omijając klasy posiadające. Pęczniejący budżet zbrojeniowy i na wydatki na brudną wojnę w Vietnamie i na zakup amerykańskiej produkcji wojennej pomaża deficyt budżetowy, spycha do kompromitacji okrytych kwot wydatki na urządzenia socjalne i oświatowe, na budownictwo pokojowe.

We Włoszech marszałkizacja przyniosła wzrost bezrobocia do 2 milionów, 75 proc. rodzin włoskich ma dochód miesięczny nieprzekraczający 44.000 lirów podczas gdy minimum kosztów utrzymania wynosi co najmniej 50.000 lirów. Przemysł pracuje na połowie swoich możliwości produkcyjnych.

W Anglii sytuacja jest równie trudna. Placa realna nieustannie spada, nie ma miesiąca, aby nie dokonano podwyżki cen przy zamrożonych od dawna przez labourystów placach. Sam minister apropracji musiał przyznać: „Gdziekolwiek rzucić okiem, wszędzie się widzi liczne i niebieda dowody tego, że w wyniku wyższych cen najważniejszych artykułów spożywczych są ostatnio niedostępne dla prostych ludzi pracy i klas średnich”.

Król francuski Henryk IV obiecywał, że każdy z jego poddanych będzie miał rosół z kury na obiad. Pieczęć nie ma czego obiecywać, bo i tak mu nikt nie wierzy. Ale Webb, ów angielski minister apropracji, obiecywał Anglikom lepszą jakość kiełbasy. Nie mógł on oczywiście zaproponować swoim ziomkom to co ongiś obiecywał Henryk IV Francuzom z tej prostej przyczyny, że w ramach „pomocy” amerykańskiej Anglia otrzymała w imporcje... kurzą dżumę. Sek jednak w tym, że kiełbasy w ogóle w Anglii jest tyle co na lekarstwo.

Ale Plevin i Attlee powiadają, że jest wspaniała propozycja dla ludu: znaleźć się w kotle atlantyckim w charakterze mięsa armatniego. To samo mówią jak nakręcone katarynki inne usłużne rządy. Tego rodzaju propozycje i nieustanne żądania amerykańskie „nowych ofiar” ostudzić entuzjazm nawet miejscowej prasy burżuazyjnej, która coraz odważniej zaczyna przebąkać o tym, że w istocie rzeczy cała impreza atlantycka oparta jest na bardzo kruchych

podstawach i papierowych obliczeniach.

Proletariat europejski wie natomiast od dawna o tym. Wie aż nadto dokładnie, że Eisenhower jest wspaniałym tychem sił, które niosą nędzę, głód, pożogę wojenną. Ową pupilek Marshalla i Truman ma w swej karierze tak „chwalebne” karty jak bandycki atak zbrojny na bezrobotnych inwalidów wojennych w roku 1932 na ulicach Waszyngtonu. Jest wypróbowanym agentem kapitału monopolistycznego. Jest wszędzie dowódcą o wątpliwych zdolnościach wojskowych. Dowodem tego były działania alianckie w czasie drugiej wojny światowej na Sycylii czy w Normandii, a przede wszystkim w Ardenach. Właśnie w Ardenach i to właśnie pod dowództwem Eisenhowera załamał się front aliancki a hitlerowcy byli na drodze do odwrócenia fatalnej dla siebie na Zachodzie karty, gdyby nie potężna ofensywa Armii Radzieckiej na linii Wisły, przejmującej na swoje niezmierzone barki siłę najmocniejszych dywizji hitlerowskich.

Truman wyjaśnił, że Eisenhower ma do spełnienia podobną rolę w Europie, jak Mac Arthur we wschodniej Azji. Sądząc po przygodach Eisenhowera w czasie drugiej wojny światowej i po generalnej kłapcie strategii Mac Arthura w Korei — na pewno! A tacy są dla Truman i Wall Street najlepsi, bo wszak generał-rektor zdążył poprzec Marshalla powiadać się bardzo silnie z „domem” Morgana (70 miliardów majątku!), a przez okres swego rektoratu związał się jeszcze silniej z mającą imperialistyczną i jej zaudczającą swoje wysokie stanowiska. Warto tu dla wyjaśnienia przypomnieć, że uniwersytet Columbia, w którym rektorował Eisenhower, podobnie jak większość uniwersytetów amerykańskich jest przedsiębiorstwem, stanowiącym własność grupy Morgana i Rockefellera, a w radzie zarządzającej zasiadają takie „naukowe” potęgi jak Harrison, prezes potężnego koncernu „International Telephone and Telegraph”, jak Dodge, król miedzi, jak Warren, fabrykant karabinów maszynowych. Ciemne zatem sity stoją za Eisenhowerem, wiernym służą Wall Streetu i różnym międzynarodowym kanaliom. Odpowiedni ko więc wykonawcą zbrodniczych planów podlegających wojennych, udzielić nie wspomniany przez faszystów nie-mieckich z okresu pełnienia przez niego obowiązku gubernatora wojenskowego amerykańskiej strefy okupacyjnej w Niemczech, ordęwnik kolaboracjonistów francuskich w latach ostatniej wojny.

Dla ludów Europy w istocie obowiązuje ten sam obraz nowego gauleitera. Wystarczy, że jest, że próbuje montować nową agresję i nową zawieruchę wojenną, że kosztom krwi i życia milionów chce ratować walący się na tęg na szyję gmach imperializmu północno-amerykańskiego.

W epoce, w której wszystkie drogi prowadzą do komunizmu, nie mają oczywiście poważniejszych szans powodzenia tego rodzaju kłownia. Ludy Zachodniej Europy nie tylko potrafią już dzisiaj demonstrować, dając świadectwo prawdzie, że nic z nich bez nich, ale potrafią wyłożyć skutecznie o pokój, o niepodległość, o prawo do życia, ziemi i chleba.

Eisenhower powraca do Stanów Zjednoczonych dla złożenia sprawozdania swoim moccadawcom z jego wywiadu po Europie Zachodniej. Ostatnie chwile jego kilkudniowego pobytu na europejskim gruncie pozostają pod znakiem olbrzymiej manifestacji ludu francuskiego, który wydobyl na światło dzienne całą przemysłową katów ludu i wystawił cały aparat terroru, by zagłuszyć w represjach głos milionów. Nie zagłuszył i nie zagłuszy. Powrót Eisenhowera do Europy z nowymi instrukcjami nie tylko w niczym nie zmienia sytuacji na korzyść amerykańskich machinacji, ale będzie sygnałem podjęcia nowej walki ludów krajów zmarszalizowanych o wolność od groźby wojny, o wolność od imperialistycznych opiekuńców. Cóż z tego, że usłużne rządy i parlamenty uchwalają budżety wojenne, że planują dywizje. Ostatecznie armaty nie będą same strzelały, a Plevin z Attlee oraz swoimi pomocnikami, nie stanowią jeszcze armii, nie myślą nawet o tym, aby uzupełnić szeregi mięsa armatniego swoimi osobami. A kto te szeregi uzupełni, jeżeli proletariat Europy Zachodniej odpowiada krótko: precz z wojną! Eisenhowerzy z Ocean!

FRANCISZEK ZAWADA

RYSZARD KONICZEK

POWIEŚĆ O LUDZIE PROWANSJI

PAN na Piskowym Zamku^{*)}, to zapomniana powieść zapomnianego pisarza. Autor tej jedynej zresztą powieści, Jules - François Eléazar de Collet baron de la Madelène, urodził się w roku 1820 w Warszawie, w rodzinie arystokratycznej, pochodzącej z hrabstwa awiniońskiego, osiadłej następnie w departamencie Voucluse w Prowansji. Tam też przebiega akcja „Pana na Piskowym Zamku”, którego autor był silnie związany z ziemią Prowansji i jej ludem.

Departament Voucluse, a dokładniej hrabstwo Venaissin, gdzie wychowywał się Madelène, wywalczyło sobie od wieków swobody republikańskie i było z nich dumne. Wyraził to bohater powieści Esperit: „My tu w hrabstwie jesteśmy od wieków wolni i niezależni, panie nie ma tu nie porządku, panie wojny”. Te tradycje republikańskie przyjęły radykalne zabarwienie, gdy w roku 1791 mieszkający hrabstwa

lawendy i kóz. Kraj, gdzie rosła ludzka pełnia temperamentu, porywcz, silni. Silni nie tylko w swych prostych namiętnościach, ale w ciężkiej pracy na roli spalanej słońcem i twardej jak skała. Lamanose — mieszcina prawie górską. Resztki starych murów, wieża św. Sebastiana, w której bronili się konsulowie w XII wieku, osiem gospód i na drodze do Carpentras „Piskowy Zamek” — oto tło. Nie ważne są poszczególne elementy, lecz całość obrazu, przemawiającego ciepłym umiłowaniem ziemi ojczystej. Patriotyzm różnych postaci powieści: Esperita i Tirarta, Marcello i Blandyna. I nie ma słów, nie ma patosu, są tylko fakty i uczucia.

Esperit nie urodził się z takim uczuciem; nauczył się kochać wędry, gdy do Lamanose przybył panie i panowie z Paryża. Gdy z trudem zastawił ich nagły zachwyt i szybkie znużenie. Czy świadome uczucie, świadome spojrzenie

własnej niezmordowanej pracy, dzięki zdolnościom i sprytności w transakcjach handlowych, dzięki umiejętności wykorzystania terenu i ludzi, a także władzy wojta do prywatnych celów. Ale jest on mocno przywiązany do ziemi, prosty, ulegający takim samym namiętnościom, jak wszyscy wieśniacy, chce by go tytułowano „panem”, dlatego, że tak nazywa go starosta. Jest to postać, która nie zawazyła jeszcze na rozwoju wsi, ale która przekształciła ją w przyszłości. Przeciwnieństwem Tirarta jest genialny wynalazca Matelek Senalrie z Seyamie. Jego bankructwo i niepowodzenia w handlu płyną nie tylko z przyczyn wewnętrznej bezradności. To kłeska wieśniaka nieświadomego tricków handlu kapitalistycznego. Tragedia jego wynalazku ma także źródło w pewnym zastoju gospodarczym wsi prowansalskiej.

Madelène miał za sobą doświadczenia romantyzmu, doświadczenie Balzaca i Stendhala. Stworzył też postacie, w których wykorzystał doświadczenia poprzedników. Lucjan i Feliza to produkty wychowania kapitalistycznego, to produkty całego systemu ekonomicznego kapitalizmu. Kosmopolityzm Lucjana został świetnie zestawiony z patriotyzmem Esperita.

Bohaterem powieści jest Eleazar Esperit, ale właściwym bohaterem jest lud. Esperit sumuje w sobie wszystkie dążenia ludu, przeżywa w sobie te wielką przemianę, dla której Madelène napisał książkę. Jest to przebudzenie się świadomości siły w masach ludowych i wiara w przyszłe zwycięstwo, tęsknota za lepszym, pełniejszym życiem. Projekt Esperita wystawienia tragedii w Lamanose i wydanie z tym związane, to epickie tło powieści, ale zarazem coś więcej. To próba porażenia ludu, zapalenia go do wielkich celów. Czy nie wydaje się to śmieszne? Gdy Esperit idzie do „uczonego” pana Lagardelle, nauczyciela, z prośbą o pomoc, ten drwi z niego: „Jesteś ogrodnikiem, jesteś studiarzem, nagle strzela ci do głowy wziąć się do sztuk pięknych. Może zdobyłś stopień naukowy, dyplom? Ty nieuk, ty niepoprawny głupiec! Ty, Esperit! A czy wiesz w ogóle, co to jest tragedia? Czy zastanawiałeś się, kto jest największym autorem tragicznym? Czy liźniesz choć trochę retoryki?”

Śmieszne to jest dla pana Lagardelle, ale nie dla Esperita. Esperit wierzy w siebie, wierzy w wieśniaków z Lamanose, że zrozumieją i podejmą próby tragedii. Wielka wiara, optymizm Esperita zwycięża. Sceny przygotowania do odpuści św. Antoniego, to wielki, historyczny obraz, chciałoby się powiedzieć, zwycięstwa ludu. Bo tu Esperit już nie nie znaczy. To lud tworzy, opanowany wielką tęsknotą za lepszym życiem.

Na pierwszy plan wysuwa się ogromny optymizm Madelène'a, twórcze spojrzenie w przyszłość;

HANNA KIRCHNER

„UPARTA, GWAŁTOWNA I POSEPNA...”

Emilia Brontë (urodziła się w 1818 roku) była jedną z trzech oryginalnych, utalentowanych pisarek, córek wielkiego Patricka Brontë. Mówi się o nich po prostu: siostry Brontë. W 1811 roku ojciec ich, Irlandczyk z pochodzenia, przybył do parafii Harworth w Yorkshire. Tu ożenił się i do końca życia nie wyjechał poza obręb wiejskich wzniesień West Riding. Trzy siostry uczyły się w szkole żeńskiej dla dzieci pastora w Cowan Bridge. Charlotte i Emilia spędziły później jakiś czas w pensjonacie w Brukseli, ucząc się języków. Wszystkie trzy były naprzemiennie guwernantkami lub nauczycielkami w dworach najbliższych okolicy. Pisały wiersze i wydały zbiorek pod pseudonimem: Currer, Ellis i Acton Bell. Zbiorek przeszedł bez wrażeń. Sto cztery lata temu, w 1847 roku ukazały się natomiast trzy pierwsze powieści siostry Brontë: „Wichrowe wzgórza” (Emilia), „Agnieszka Grey” (Anny) i „Jane Eyre” (Charlotte). Charlotte wydała jeszcze dwie powieści: „Shirley” i „Villette” i zaczęła być sławną. Emilia i Anna już wtedy nie żyły. Autorka „Wichrowych Wzgórz” umarła w rok po wydaniu swej pierwszej i jedynej powieści. Charlotte rozstała się z życiem mając trzydzieści kilka lat. Wszystkie trzy umarły na gruźlicę.

Przez pół wieku sława towarzyszyła imieniu Charlotte. Dopiero wiek XX „odkrył” Emilię. „Wuthering Heights” wchodzi do rejestru klasycznych pozycji literatury angielskiej. Kiedy „Wichrowe wzgórza” ukazały się w druku, wzbudziły powszechną niechęć krytyków, którzy określiły autorkę słowami: „uparta, gwałtowna i posepna”. Była to opinia bardzo trafna. Treść tych słów określała również dobrze konflikty książki, jak i stosunek autorki do epoki, którą tak przenikliwie scharakteryzowała w swej powieści.

Były to czasy dalszego postępowania procesu, o którym mówi „Manifest Komunistyczny”: „Wszystkie do tychczasowe drobne stany średnie — drobni przemysłowcy, kupcy i rentierzy, rzemieślnicy i chłopcy, wszyscy — te klasy stają się do szeregów proletariatu”. Przedstawiciele warstw pośrednich już od początku kapitalistycznego układu społecznego zagrożeni równoległe do rozwoju kapitalizmu zaczynały dawać wyraz swemu niezadowoleniu. W literaturze formę tego protestu przeżył znamienne przeobrażenie, charakteryzujące poszczególne etapy zmian w położeniu tych warstw.

W XVIII wieku bohater książki Fieldinga „Joseph Andrews” — komiśnik i naiwny pleban Adams kroczy optymizmem i wytrwale wielkimi gośćmićmi burżuazyjnej Anglii. Były to czasy sentymentalnej krytyki kapitalizmu. Prawie sto lat później na tych samych drogach zaturkocze dyktans nowego Dna Kiszota kapitalistycznej Anglii. „Anioł w karmaszkach”, pan Pickwick — starszy doświadczeniem epoki brat plebana Adamsa uosabia nowy etap naiwnego protestu angielskiego drobnomieszczaństwa. Pleban Adams wygłasza kazania. Pan Pickwick robi to samo — dzielnie sekunduje mu „autor jego dni” — sam Dickens. Wszyscy oni wierzą jeszcze w dobro z natury charakteru wyrodnego syna. Kapitalizmowi trzeba naprostować zwyczajny kregosłup a będzie szczęśliwie żył dalej. Oto wiara, która od stu lat nie opuszcza angielskiego drobnomieszczaństwa. Czekając na wygrane miejsce przy kominku i chce sam także wyciągać kasztany z ognia. Brutalnie odepchnięty wyciąga biblię i odwołuje się do miłości bliźniego. Znajdziemy to jeszcze w „Klubie Pickwicka”. Ale po obu stronach gościnnia czekają na pocziwów zasadki. Dickens napotka ich już więcej niż pleban Adams. Kapitalizm nie ustaje w pomysłowości. Nastąpił w międzyczasie obrót historycznej sceny. Oczom drobnomieszczańskiego anioła ukazuje się otychła więźnia za długi, domu ubogich wyżysku nieletnich i uciśku robotników. Za kilka lat pocziwa twarz drobnego rentiera Pickwicka przekształci się w obrażającą go by Veneeringów i Podsnopów. Drobnomieszczańska zaczyna kapitalizm straszny. Przyznaje się przed sobą, że nadeszły „ciężkie czasy”.

W powieści sentymentalnej Fieldinga, w prozie Dickensa człowiek tkwi w bogatym, soczystym łańcuchu serwowanej rzeczywistości. Nie boi się licznych związków z otaczającym go światem i epoką w jakiej żyje. Wciąż jeszcze triumfuje dobroć i wydaje się być skutecznym środkiem na bólaczki tego najgłębszego ze światów. Ale mimo pozorów nie ma tu już aktywnej konstrukcji losu ludzkiego. Drobnomieszczański nie dobita się już o miejsce w kapitalizmie ale broni się przed ostatecznym zepchnięciem na dno. Ostatecznie pan Pickwick zostawia więźnia i ucieka na wieś. Panowie Dodson i Fogg, przedstawiciele burżuazyjnej „sprawiedliwości”, których nie miał zaszczytu znać pleban Adams, zwyciężają.

Romantyczna powieść Emilii Brontë ma niewiele wspólnego z realizmem krytycznym Dickensa. Ale i u niego znajdziemy ślady romantycznego widzenia świata. Są w „Klubie Pickwicka” dwa nieduże fragmenty: „Opowiadania wariata” i „Opowieść

wieźnia”. Protest przeciwko rzeczywistości zostaje tam przybrany w zdeformowany, nadnaturalny kształt, zostaje przeniesiony z czynnego działania w sferę konfliktu psychologicznego. Te niesamowite, przerażające historie przypominają w wieloletnich punktach konstrukcję losu ludzkiego w „Wichrowych wzgórzach”. W tych małych opowieściach kryje się dowód pokrewieństwa Dickensa z romantyczną z krwi i kości Emilią Brontë.

Bohater książki Brontë, Heathcliff, zjawia się w posiadłości Ernshawów „Wichrowe wzgórza” tajemniczo i niespodziewanie. Pan domu znajduje go w czasie swojej wizyty w Liverpoolu — na ulicy, podrzuconego przez kogoś. Heathcliff może być Cyganem, księciem hinduskim — wreszcie kimkolwiek innym. Wychowuje się w domu, w którym go przysparzyło, przez kilkanaście lat. Zaprzyjaźnia się na śmierć i życie z córką domu Katarzyną, natomiast brat jej to jego śmiertelny wróg. Wkrótce przypomina mu się w sposób stanowczy o jego pozycji życiowej. Heathcliff spada do rangi parobka. Krzywdzony i poniżany na każdym kroku traci nawet Katarzynę. Zarezuca się ona z przystojnym i bogatym Edgarem Lintonem, właścicielem sąsiedniego majątku „Drozdowe Gniazdo”. „Gdyby mój podły brat — zwierza się Katarzyna swojej piastunce Nelly — nie zmarnował Heathcliffa i nie zrobił z niego parobka, nawet na myśl by mi nie przyszło to małżeństwo. Ale teraz poniżałabym się wychodząc za Heathcliffa. Dlatego on się nigdy nie dowie jak bardzo go kocham”. Magiczna władza pieniądza i kręgu towarzyskiego wyznacza granice ludzkiej miłości. Emilia Brontë dobrze zna kapitalistyczny świat. Nie ma w jej powieści realizmu szczegółów, ale są zasadnicze prawa rządzące ówczesnym światem. Układ losów Heathcliffa pozostaje w ścisłym związku z nimi. Heathcliff słyszy słowa Katarzyny. Ucieka z „Wichrowych wzgórz”. Wraca po latach jako „dżentelman”, bogaty, wykształcony, zmieniony nie do poznania, wraca po to, aby się mścić.

Pleban Adams z powieści Fieldinga był bezbranny i dobruśny. U Dickensa znajdziemy ludzi cierpiących i pokrzywdzonych. Bohater „Wichrowych wzgórz” mści się za swoje krzywdy. Tu już nie ma umoralniających kazań, nie ma także swobodnego oburzenia w stylu Samuela Pickwicka. Heathcliff jest tak samo bezwzględny i okrutny jak ludzie, którzy go krzywdzili, jak prawodawcy mieszczańskiego świata. Znikają wszelkie normy moralności, loty dla ludzkich uczuć. Heathcliff poniza je w swoich ofiarach z taką samą rozkoszą i zaciętością, z jaką niedgdy jego ponizano. „Burżuazja — mówi Manifest Komunistyczny — światobliwie dreszcze pobożnego marzycielstwa, rycentyżnego zapachu, mieszczańskiego sentymentalizmu zapija w lodowatej wodzie egoistycznego wyrachowania”. Echo tych słów znajdziemy w samej powieści: „Dopatrzyłam się we mnie romantycznego bohatera, zdolnego do rycerskich uczuć i nieskończonej wyrozumiałości. Tak uparcie obstawałam przy fantastycznej wierze w mój szlachetny charakter, że wprost trudno mi ją uważać za rozumną istotę. Zdało się jednak, że zaczyna mnie wreszcie poznawać”. „Jest to zarazem jakby określenie stosunku drobnomieszczańskiego bohatera do otaczającego go świata i świadectwo wielkiej drogi, jaką przebył od optymistycznego Fieldingowskiego bohatera do pesymizmu Heathcliffa.

„Uparta, gwałtowna i posepna” — to znaczy także: inny układ losów ludzkich, inny stosunek człowieka do świata, inne jakości artystyczne. Demony zła i okrucieństwa uosobione w Hindleyu Ernshaw, bracie Katarzyny i w Heathcliffie, skonstruowane są przez autorkę z mistrzowską przenikliwością. Są to niejako typy „kliniczne” obnażające zasadnicze lino moralności burżuazyjnej. Konflikty powieści są metaforycznym obrazem stosunków między ludźmi określonych prawami w burżuazyjnej rzeczywistości. Prawa te nie znają żadnych względów ubożnych, żadnych argumentów moralnych. Metafora „Wichrowych wzgórz” kondensuje w sobie z drugiej strony już nie rozczarowanie mas pośrednich wobec kapitalizmu, które uderzają w te warstwy, są dla nich tyle tajemnicze, co przerażające. Beznadziejna aura powieści i nierozwiązalność, skomplikowane konflikty psychologiczne odzwierciedlają w sposób przejmujący epokę, w której straszliwa niedra tworzyła olbrzymie bogactwo, w której dzień po dniu staczały się na dno bytowania społecznego tysiące przedstawicieli klasy drobnomieszczańskiej.

Postępowanie Heathcliffa to z jednej strony bunt i protest, z drugiej obraz praw rządzących w świecie burżuazji. Nie bez przyczyny do charakterystyki postępowania Heathcliffa autorka dodaje zdanie: „Wieśniacy twierdzą, że pan Heathcliff był chciwy, twardy i okrutny dla swoich dzierżawców”. Heathcliff dobita się do pozycji materialnej swoich prze-

śladowców. Zemsta jego polega przede wszystkim na odebraniu im majątku, na ustawieniu syna Hindleya Ernshaw na takich samych pozycjach między i ciemnoty, na jakie zepchnięto kiedyś jego samego. Dwójstwo funkcji, jaką odgrywa postać Heathcliffa powoduje, że obok posępnego okrucieństwa, jakie wykazuje, posiada on jeszcze ogromne bogactwo uczuć pozytywnych. Heathcliff zdolny jest do najgłębszej miłości, wierności i przywiązania. Powierzchni obserwatorowi wydobywa się, że jego cechy są wrodzonym atrybutem charakteru, że on sam reprezentuje demoniczny, ciemne siły, wieczne zło, wieczną nienawiść do dobra. Przy uważnym przeczytaniu książki widać głęboki związek postawy moralnej Heathcliffa z jego pozycją życiową. Reszta zła reprezentuje on epokę, w jakiej żyje. Jest typowym okazem bohatera, w którego psychologicznej sylwetce pisarz romantyczny zwykłe zamykał całą problematykę swojej rzeczywistości.

Romantyczny protest Heathcliffa, protest równie gwałtowny co beznadziejny wyraża się równoległe w drugim nurcie powieści, w dziejach miłości jego i Katarzyny. Jest to jeden z aspektów walki o prawa do człowieczeństwa, do wielkich uczuć, do wolności, chociażby w dziedzinie życia wewnętrznego. Miłość ta jest silną rozsądkową więzi istniejącego układu społecznego, siłą przemoczną, niezależną od przemocy pieniądza, kodeksu obyczajowego i moralnego. Nie brak tu typowego dla romantycznej koncepcji miłości przekonania o odwiecznym, z góry narzuconym związku dwóch dusz, o konieczności połączenia się ich wbrew wszelkim ziemskim mocom. Tak mówi Katarzyna: „Moja miłość do Lintona jest jak liście w lesie. Wiem dobrze, że czas ją przeobrazi, tak jak zima przeobraża drzewa. Moja miłość do Heathcliffa jest jak wiecznotrwała ziemia pod stopami, nie przykryta okiem swoim pięknem ale jest niezbędna do życia. Nelly, jak i Heathcliff to jedno. Jest zawsze, zawsze obecny w moich myślach — nie jako radość, bo i ja nie zawsze jestem dla siebie radością, ale jako moja własna istota”. Miłość ta jest tak samo beznadziejna i tragiczna jak droga życiowa Heathcliffa. Jest jedynie źródłem cierpienia dla niego i dla niej.

Beznadzi i niedorzeczny protest przeciw rzeczywistości mógł się skończyć jedynie katastrofą. Na inne zakończenie nie pozwalały bezwzględne prawa rzeczywistości, które Emilia Brontë tak dobrze w swej powieści odzwiercila. Kosztem niesłychanych cierpień własnych i cierpień swoich ofiar Heathcliff mści się za swoje krzywdy. Mimo to nie osiągnie niczego. Poszarpana zwycięską linią jego życia wznosiła się uparcie w górę, aby teraz gwałtownie się załamała. Męczarnie wewnętrzne, zbliżone do obłądki, jakie przeżywa po śmierci Katarzyny, są końcowym etapem jego tragicznej kariery. Śmierć jest jedynym, uzasadnionym wynikiem jego beznadziejnych uśloowań. Głęboki pesymizm Emilii Brontë jest bardziej realistycznie uzasadniony niż koncepcje w „Klubie Pickwicka”. Tam nie ma on odwagi wyciągnąć konsekwencji z dokonanych spostrzeżeń. Autorka „Wichrowych wzgórz” powiedziała ostatnie słowo.

Anonimowy wstęp do powieści mówi o „Wichrowych wzgórzach”: „Powieść ta nie zapisuje prawdy o świecie. Powieść ta pokazuje nam jedynie, w jaki sposób świat był przez pisarzy tej epoki przedstawiany, jakim im się wydawał”. Staraliśmy się dowiedzieć, że opinia ta jest powierzchowna i niesłuszna. Wartość jednej książki młodzieńkiej pisarki kryje się nie tylko w prawdzie konstruowanego przez nią świata, ale i w wielkich walorach artystycznych jej utworu. Powieść pisana jest prozą tak piękną, mistrzowsko jasną i prostą, jakiej niewiele jest w światowej literaturze. Rzadkie są w niej opisy przyrody, a przecież w głębi każdej kartki stycznym posępnym szum wiatru na wrzosowiskach Yorkshire, czujemy ciągłą obecność natury i jej subtelny a głęboki związek z ludźmi.

Romantyczna krytyka kapitalizmu, której typowym przykładem jest powieść Emilii Brontë, przebiega innymi drogami niż krytyka powieści realizmu krytycznego XIX wieku. Nie operuje ona bogactwem historycznych szczegółów, drobiazgową obserwacją rzeczywistości. Koncentruje swą uwagę niemal wyłącznie na życiu wewnętrznym człowieka. A jednak współczesny czytelnik znajduje w tej literaturze pełną pasji krytykę mieszczańskiego porządku, obronę wielkich i pięknych uczuć ludzkich, którym tak nienawistne są zasady burżuazyjnej moralności pieniądza i uciśku. Znajduje protest i bunt przeciwko wieżom kapitalistycznego świata, dążenie do wolności, do nowych postępowych form ustroju społecznego.

Hanna Kirchner

*) Emilia Brontë „Wichrowe wzgórza”. Czytelnik, 1950, tłumaczyła Janna Sukirowska.



James Gillray — „Bitwa”

bronią w ręku powiedzieli się za rewolucję i oddali się pod panowanie Francji. Restauracja, a następnie drugie cesarstwo innymi wiekami przytwierdziły Prowansję do Francji. Władza Mazametów i Tirartów w Lamanose i Rétales, to już nie wież wspólnej idei demokratycznej, to uciśk policjiny i żandarmerii. Mieszkańcy Lamanose odnoszą się z szacunkiem do zdolności gospodarczych, do wyteżonej pracy wojta Tirart, ale nie umieją tytułować go „panie Tirart”. „Panie” — ma posmak innej, obcej władzy. Ten „wrodzony” republikański zwracają się myślą do czasów, kiedy byli niezależni, kiedy „konsul musiał każdego wysłuchać”.

Wychowany wśród takich ludzi młody Juliusz Madelène, znalazłszy w Paryżu, wszedł w krąg socjalistów. Pociągający go hasła socjalizmu utopijnego. Współpracując z Piotrem Leroux w „Revue Indépendante”, publikuje wiersze i nowele. Twórczość jego w tym czasie mieści się całkowicie w ramach romantyzmu.

Rząd Tymczasowy w 1848 roku mianuje Madelène'a komisarzem republiki w Awinionie. Podczas rewolucji czerwcowej Madelène przechodzi może to, co w powieści przechodzi Esperit: „Esperit od almanachu, Esperit, co spadł z księżycy, Esperit od koników polnych stał się nagle mężczyzną, dojrzał, panował nad sobą; objawiła się jego właściwa natura, znajdował drogę”. Esperit — Madelène znalazł drogę w gorących dniach czerwca, stanowiący po stronie robotników paryskich. Wtedy dostrzegł jedną siłę konsekwentną, jedną „partię” — proletariat. Gdy w dziesięć lat potem będzie z humorem opisywał partię w Lamanose, powie, że trudną rzeczą jest bliższe określenie stronnictwa, bo w Lamanose nie ma proletariatu.

I jeszcze raz wystąpił Madelène. Podczas buntu tkaczy lionskich. Rzuć w twarz panom z Pałacu „Niech ginie Polska i niech ginie Italia! Żołnierzy Republiki starczy załedwie na to, aby zalać republikanów...”. „Formuluje w uderzający sposób jedną z tych prawd historycznych, które stanowią będa w przyszłości podstawy naukowego socjalizmu: „Kiedy pewne zagadnienie powstanie w świadomości ludu, należy je rozwiązać lub zgiąć...” (Wstęp Aragona).

Za Cesarstwa był Madelène tylko pisarzem. Pisarzem, który dzięki piętnej byłego komisarza republikańskiego nie mógł zdobyć powodzenia księgarskiego. W roku 1859 w „Revue des Deux Mondes” pojawia się „Pan na Piskowym Zamku” — bez echa. W tym samym roku umiera Juliusz Madelène.

Powieść Madelène'a nie jest zbiorem wypadków z życia autora, jest raczej marzeniem jego życia. Marzeniem, które znajduje swoje odbicie w rzeczywistym bytowaniu ludu prowanskiego. Prowansja — kraina gór i słońca, marzanny i winnic,



Angielski rysunek satyryczny z połowy XIX wieku.

wisło jeszcze nad nim widmo wykryku kapitalistycznego; zdobyte swobody republikańskie, nie dopuściły niewoli feudalnej, chociaż jedno i drugie zostawiło ślady. Przykład: chociażby rywalizacja sąsiednich wsi. Zagadnienie leży nie tylko w krewkiej naturze wieśniaków. Z tym walczy Esperit, to jest przewodnią myślą wystawienia tragedii „Śmierć Cezara”.

Istnieje jednak władza królewsko, oficer żandarmerii, rejent Mazamet i sam wojt Tirart, którzy obrecają ścisłą swobodę burliwych prowansalczyków. Lud przywykł do wolności, do praw demokratycznych dostrzegł to i burzy się. Mieszkańcy Lamanose to chłopcy i drobni rzemieślnicy. Każdy z nich ma własny warsztat pracy, możliwość wyżywienia rodziny. Ale w środku tej demokracji wyrasta wojt Tirart. Na razie jest on bogatym chłopem. Bogatym dzięki

zwycięża idea nowego, bogatszego życia dla ludu. Madelène patrzy jeszcze dalej. Wynikiem nowych wydarzeń jest Esperit-artysta, Esperit, który nie potrafi już lepić nieforemnych figurkę wczorajszych i tworzy arcydzieło.

Atmosfera wiary w wielkie siły ludu, tęsknota do lepszej przyszłości, panują w całym utworze. Bliski jest nam „Pan na Piskowym Zamku” w chwili rzeczywistego zwycięstwa i budowania lepszej przyszłości. Ludowy patriotyzm pogłębia artystę powieści i uczy jak kochać ojczyznę.

Ryszard Koniczek.

*) Jules de la Madelène, Pan na Piskowym Zamku, P. I. W., 1950. Przedmowa Louis Aragona. Tłumaczenie Jadwigi Janochowskiej.

Korespondencja

KLUBY LITERACKIE

Sprawa zabezpieczenia stałego dopływu do Związku Literatów Polskich — świeżych, z klasy pracujących wywodzących się pisarzy jest jeszcze ciągle aktualną. Świadczy o tym ostatnia wypowiedź A. Brauna („Nowa Kultura” z dn. 10.XII.50 r.), jak również artykuł B. Chęcińskiego („Wieś” z dn. 29.X. ub. r.) i związana z nim dyskusja literacka na łamach „Wsi”.

Bardzo ciekawym przyczynkiem w tej kwestii był też artykuł („Nowa Kultura” nr 28 z 50 r.) omawiający pracę Klubów Młodych przy poszczególnych miejskich oddziałach Z.L.P. Autor artykułu sędzi jednak głównie po tej samej linii co autor notatki pt. „Kluby i Koła Młodych Literatów”, zamieszczonej w „Sztandarze Młodych” (z dn. 5.IX.50). Oba traktują (sprawę trochę po dziennikarsku. Zgadza się na to, że istniejące Kluby Młodych w Krakowie, Warszawie, Wrocławiu, Szczecinie czy Katowicach — nie mają wypracowanych socjalistycznych metod pracy, że źle pracują, itp. Twierdzą również wspólnie, że element, który opanował te kluby to w 85 proc. młodzież inteligentna lub drobniomieszczńska. Nie podają natomiast za pomocą jakich form, należy i kto powinien, za pomocą jakich organizacji czy związków — zdobywać młodzież robotniczą czy szkolną do owych Klubów Literackich.

Weźmy konkretny przykład, jak wygląda sprawa kadr w robotniczej Łodzi. — Nie wszyscy w Polsce wiedzą np., że m. Łódź liczy sobie 528 lat. Natomiast wszyscy uważni czytelnicy naszej prasy społeczno-literackiej wiedzą, że miasto nasze ma b. skromniutką tradycję literacką! — Obok pięknej karty z historii walk polskiej klasy robotniczej (od kółek „Wielkiego Proletariatu” do walki podziemnej z hitlerowcami jakoś organizacją czy przez łódzkie i niełódzkie stary pisarzy i poeci poświęcił temu miastu — pracy niewiele ponad 10 tomów, nie licząc luźnych wierszy czy artykułów.

Przyjrzyjmy się po krótko jak to było w istocie z klubami literackimi w Łodzi. Na początku, zaraz po wyzwoleniu pracowali — tzw. Klub Młodych przy Z.L.P., były to lata 1945/46. Klub ten choć nie żył długo dał kilku znanych dziś w Polsce pisarzy. Później istniał w latach 1946/48 w Łodzi towarzysko-literacki Klub „Piekwicka”. Klub ten organizował wspólnie z ówczesnym zarządem ZLP w Łodzi — wieczory autorskie łódzkich pisarzy i poetów. Frekwencja w ostatnim roku jego istnienia na wieczorach wahała się od 8 do 13 osób(!), a były to wieczory „publiczne”. Klub miał do swej dyspozycji bogate środki informacyjne o swej działalności, jak radio, prasa, plakaty itp. Klub nie znalazł ścisłego powiązania z łódzką klasą robotniczą — musiała się więc rozpaść. Na tym urwała się akcja Klubów bezpośrednio prowadzonych przez łódzki oddział Z.L.P. Dalszy ciąg tej akcji podjęli w Łodzi aktywiści Związków Zawodowych.

W wydanej jeszcze w r. 1948 przez C.R.Z.Z. książeczkę pt. „4 Lata działalności kulturalno-oświatowej Zw. Zaw. w Polsce”, w rozdz. o życiu literackim ubolewano, że brak było (w 1. 1945/48) zorganizowanych

wanych związkowych grup literackich — choć podkreślono, że są ku ich rozwojowi duże możliwości w Związkowych Domach Kultury! Faktem znów jest, że pierwsza związkowa grupa literacka powstała w Łodzi.

W maju 1949 r. powstał na terenie jednego z łódzkich Związkowych Domów Kultury — Związkowy Klub Literacki pn. „Przełom”. Zadaniem nowego klubu było stworzenie dobrych warunków dla rozwoju kadr literackich, rekrutujących się z ludzi pracy — związanych jak najściślej z masami oraz dążeniem ich w okresie przełomu i budowy nowego ustroju oraz uupowszechnianie i uprzedmiotowienie rozumienia socjalistycznej literatury wśród najszerszych rzesz związkowców. Zagadnienia te klub zaczął realizować drogą akcji samokształceniowej, tj. przez pogłębianie podstaw teoretyczno-literackich, świadomości ideologicznej swych członków. Za formy dalszego działania Klub „Przełom” przyjął: urządzanie stałych czwartkowych (wzorem radzieckim) dyskusji literackich nad twórczością współczesnych autorów i omawianie krytyczne utworów członków klubu, wieczory autorskie, konkursy recytatorskie, zespolone redagowanie literackiej gazetki ściennej, kontakt i wspólne występy z innymi Sekcjami kult.-oświatowymi Domu Związkowego na scenach związkowych; współpracę kronikarską z pismami Zw. Zaw., itp. Klub ponadto utrzymywał stały żywy kontakt z Kołem Polonistów i Filologów Uniw. Ł. Od zarania swej działalności klub przyjął patronat Zarządu Oddz. łódzkiego Z.L.P. O dużym interesowaniu się łódzkim oddziałem „Przełomem” świadczy to, iż na dyskusjach byłymi obok opiekunów, łódzcy pisarze i poeci: M. Ochocki, J. Miller, B. Chęciński, Cz. Schabowski i inni. Również Wyd. K.O. łódzkiej O.R.Z.Z. był w ciągłym kontakcie z „Przełomem”. Na publicznych czwartkach literackich w klubie tym (1949/50) przeciętnie brało 31 osób, przy skąpych środkach informacyjnych.

W wspomnianej tu na wstępie ostatniej wypowiedzi A. Brauna „O dopływie nowych sił do literatury” — autor zgadza się na ogół na wysuniętą przez B. Chęcińskiego (we „Wsi”) trójsłupową organizację klubów czy kół literackich. Stwierdzenie to jest słuszne. Teoria ta znalazła już zastosowanie i w praktyce na terenie m. Łodzi. Otóż z Klubu „Przełom”, liczącego kilkunastu członków, który stałby na drugim stopniu proponowanej przez powyższych autorów sieci klubów literackich — pięciu najzdolniejszych członków powołano do organizującego się obecnie przy łódzkim Z.L.P. nowego Klubu Młodych. Przez to stwierdzono również, że Klub Literacki „Przełom” zadania swe na odcinku 2-letniej pracy samokształceniowej i społecznej wykonał pomyślnie.

Reasumując, należy podkreślić, że wypracowane formy pracy związkowego klubu literackiego w Łodzi powinny być naśladowane przez przyszłe tego rodzaju kluby, które powstaną na wsi czy w miastach w drugim roku Planu 6-letniego.

Z. Konicki
(Organizator i sekretarz „Przełomu”)

1) M. in. J. Miller i A. Braun.
2) Organizatorem i kierownikiem tego klubu jest T. Giegier (aktywiista z „Przełomu”)



SEWERYN SKULSKI

JADĄ WOZY ZE ZBOŻEM

56 wozów jeden za drugim posuwało się w dniu piątego stycznia z terenów Gm. Jastrzębie przez miasteczko Lipno w stronę spichrzów spółdzielczych, aby sprzedać państwu zboże. Długą linię wozów poprowadził z naszej gromady Rumanko-Karnkowo, radny Wiśniewski Józef. Miał radny Wiśniewski nie małe powody do zadowolenia i uśmiechu, aby nie gwałt na jego twarzy tego dnia. Nasza gromada sprzedada państwu ponad pięć ton zboża a cała gmina z dziewięciu gromad zyspała tego dnia państwu ponad trzydzieści ton. Gmina w całym planie dostawy zboża podskoczyła do 90 procent.

Nie ma blasków bez cieni. Popsuł się humor radnemu Wiśniewskiemu gdy sorys gromady Jastrzębie uniósł napis do góry, że jego gromada już wywiązała się w 115 procentach (pierwsze miejsce w gminie), a gromada Konotopie w 102.

Tegoroczny skup i dostawa zboża stanowią nowy rozdział w historii naszej gminy. Wrog klasowy, bogaty chłop przegrał stawkę, na jaką liczył. Nie tylko nie powstrzymał średniaka od dostawy zboża państwu, ale sam to musiał uczynić. Za zeszłoroczną spekulacją zbożową pokazywano go tej jesieni palcem. Bo niewiasty zeszłorocznego rozdzielu zboża wolnorynkowego, pozwalał bogaczowi na spekulację. Nie liczone się z potrzebami rodziny i ilością osób w rodzinie, liczone się z ilością posiadanej ziemi często domaganie się dostawy zboża od tego, który na prawdę nie miał, a bogacz, który zazwyczaj rodziny mają nieliczne, masowo kontraktowali tuczniaki, zakrywając się „obowiązkami” wobec państwa, a w wyniku „zarabiali” na korzystnych warunkach kontraktacji tuczniaków i na przedmówku na spekulacji wygórowanych „po cichu” cen za zboże.

Czas robi swoje o ile rewolucja wyklaga wnioski z tego, że „wiedza sąsiadzi jak kto siedzi”. W tym roku nie tylko trójki zbożowe bardziej się orientowały, gdzie zboże jest i do bogaczy szły jak w dym, ale też szły już nie z „uświadomieniem”, bo wroga można tylko zwyciężyć a nie uświadomić, szły z wola małą i średnią. A wola ich było: czas spekulacji i wrogi dywersji mijali.

Trójki były wsparte w tym roku izolacją małych, jakiego bogacz odczuł w sezonie prac polnych. W tym roku nieprzyjęli małorolnicy „zaproszenia” kulaków do najemnej pracy. Nikt też do nich nie zgłosił się po

maszynę żniwną ani siewną. Nikt nie poszedł po pomoc pociągową. Skończyły się liczne do niedawna dniówki odrobkowe za maszynę i konia. Mało i średniololnemu przez ośrodki maszyn państwo przyszło z pomocą.

W domach małorolnych nie ma przeludnienia. Co dorasta, idzie do szkół fachowych lub wyjeżdża do fabryk i zakładów a każdy uodolniony dostaje pomoc państwową i uczy się. Bogacz nie miał w tym roku komu odliczyć korzyści, „na zjedzone” przez siły najemne. Ludzie to głęboko zrozumieć. Ostatni ustąpił strach o rezerwe, u bogacza.

W ubiegłych latach, do niektórych trójek zbożowych wkrocili się sami bogacze lub ich wtyczki albo zwyczajni kumotrowie bogaczy. Takie trójki po wejściu do bogacza, mówili o wszystkim tylko nie o zbożu. Taka trójka nie gardziła „serdecznym” przyjęciem bogacza. Oprócz herbatki dzwoniły i kieliszki po zębach. A wtedy serca się rozluźniały i razem z bogaczem trójka lała łzy nad jego dzisiejszą niedolą. Na koniec powiedział bogaczowi: — A odstawcie tam coś, I tylko „coś” odstawili.

W tym roku gospodarczym, Prezydium Gminnej Rady i Komitet Gminy PZPR zwracali baczną uwagę, ażeby do trójek zbożowych weszli tacy, którzy tam być powinni. Zaraz też na jesieni wrog klasowy dowiedział się, że w trójkach zbożowych nie ma jego poczekników. Ale wrog dalej walczył. Jeden rzekomo już nie miał zboża, inny znów nie miał czasu do młócenia. Oznymik społeczny znalazł czas na omówienie. Tu i tam znalazł „ukryte” zboże u tych, którzy go już „nie mieli”. Ten i inny znalazł się w gazecie za swoją wrogość do Polski Ludowej, bo dobrze takich zapamiętano, którzy dla państwa w ubiegłym roku gospodarczym zboża „nie mieli”, ale znalazło się doświadczenie, aby za niego pobrać podwójną cenę, co im obecnie przypominano.

Seweryn Skulski

MARCIN WIELGUS

„SPECOŻERCY”

Dość pisaliśmy już o działalności biurokratów. Jednakże każdy kij ma dwa końce. Akcja zwalczania biurokratyzmu nie powinna wyrażać się w uciek naszej inteligencji pracującej. Tego rodzaju zagłębienie powoduje często mniej lub więcej komieczne efekty — a zawsze bardzo poważne problemy.

Oto autentyczne wydarzenie, jakie miało miejsce w ubiegłym lecie w powiatowym mieście Żary, w woj. zielonogórskim, a które zanotowała „Trybuna Ludu” nr 239 z 1950 r.

Proponujemy naszym literatom wykrąjać z niego scenariusz komedii filmowej. Naszym zdaniem mogłoby być nawet lepszy niż „Kłopoty referenta Trziszki”.

W dn. 6 sierpnia 1950 r. trzydziestu mieszkańców Żar, otrzymało tajemnicze pismo Prezydium Powiatowej Rady Narodowej, zawiadamiające o zebraniu w niecierpiącej zwłoki „sprawie państwowej wagi”. Zebranie miało się odbyć nazajutrz z samego rana. Cel został przemilczany (zapewne tajemnica państwowa). Zagadkowe pismo otrzymały same „grube ryby” — cała „śmietanka” Żar. Nazajutrz na zebraniu między innymi oglądali się zdumie-

Propozycje teatralne i filmowe

JÓZEF POGAN

DZIWNY KULAK

Znam na wylot kulaków, ich stosunki do biedniejszych, sposoby ich wykorzystywania dla zbijania majątku, ale takiego Wróbla jakiego przedstawił Janusz Warminski w swej 2-aktowej sztuce drukowanej w 12 Nr-ze „Twórczości” — nigdy w swym życiu nie spotkałem.

Zajęzkowska przychodzi na przednówku do Wróbla z prośbą o pożyczkę trochę zboża. Wróbel dąsa się, złości i krzyczy, że „Zajęzkowski lata po chałupach i różne zię rzeczy na niego (na Wróbla) wygaduje, a do roboty to go nie ma”. Przypomina, że „jeszcze mi z tamtego roku jesteście winni korzec ziemniaków, dwa worki kaszy, pięć dniówek odrobku (zapewne za konną robotę w polu) i coś tam jeszcze”. Znaczący by to, iż między Wróblem a Zajęzkowskim są już pewne zatargi. Ale o tym nieco później. Zajęzkowska nie przestaje prosić, a Wróbel się rzuca, że „im nie będzie pomagał” i radzi im sprzedać gospodarstwo, wyjechać na Zachód itp. Zajęzkowska nadal bezambitnie błaga i wrzeka, że gdy „przystąpią do spółdzielni produkcyjnej to zaraz oddadzą”. Wróbel zląkł się, pożyczka zboża i prosi by Zajęzkowski „przyszedł dość wczesnym”.

Obawa Wróbla przed założeniem we wsi spółdzielni produkcyjnej i jego przebiegłość w skapiowaniu sobie biednego sąsiada (pożyczka zboża) trafnie ujęte. Chodzi jednak o ten duży sprzed roku korzec ziemniaków, dwa worki kaszy (przypuszczalnie około 150 kg. — na co aż tyle) pięć dniówek roboczych i coś tam jeszcze”. Powstaje przeto pytanie: co skłoniło Wróbla do wypowieszenia Zajęzkowskiemu tak dużej ilości żywności? Na jakich warunkach wypoczął, że tak długo nie żądał zwrotu ani odrobku? Bo drugi przednówek już nadzedł, a Zajęzkowski choć jeszcze zjedzonej w zeszłym roku kaszy nie oddał, błaga o dalsze pożyczanie. Czyżby kulak Wróbel był taki cierpliwy i litościwy dla biedniaka? To wyjątkowe czekanie bogacza na zwrot swych należności wyjasnia się niebawem, Wróbel specjalnie nie chciał zadłużyć biednego sąsiada, by w konsekwencji zagarnąć jego gospodarstwo i puścić go z „torbą na dziady”, posiada bowiem na wypoczoną przed rokiem żywność podpisaną przez Zajęzkowskiego kwity. Wiele w takim razie Wróbel „mając głowę na karku”, a nie wiedząc nie jeszcze o zakładaniu we wsi spółdzielni produkcyjnej, nie miał żadnych powodów kłać o dług na dotychczasowego swego parobka, a przysłać ofiarę. Raczej winien był jeszcze dołożyć drugi „korzec ziemniaków, dwa worki kaszy i coś tam jeszcze”, by większa suma długu się uzbierała. Jednak jego dąsanie się i przypominanie, że Zajęzkowski „różnie na niego źle wygaduje” dziwnie balamuci sprawę i świadczy poniekąd o pewnych już między nimi zatargach. Mamy tu więc dylemat i nie wiadomo ku której sprawie bogaty Wróbel zmierzał: czy ku odebraniu należności? czy ku zadłużeniu sąsiada? Pierwsze wydawało się, a oskarżało Zajęzkowskiego, że po 1) bogacz są dość dobrze, pomagają biedakom i długo nie żądają zwrocenia długu i po 2) że biedak korzystając z laski bogatego sąsiada — nie dość, że tak długo nie zwracał należności, to jeszcze „że na niego wygaduje”, a mimo to bezambitnie i bezczelnie nadal śmie prosić o pomoc.

Drugie świadczyłoby mówiąc ogólnie o działalności Wróbla, który nie

umie swymi sprawami dobrze kierować (chce zadłużyć sąsiada, a nie chce udzielić pożyczki).

Obie te sprawy rozsądza znów trzecia, która po wojnie skierowała sposoby obrachunków sąsiedzkich nieco na inny tor: otóż w ostatnich latach bogacze stali się aż nadto ostrożni z wszelkimi pożyczkami i tak zawsze kombinują, by mieć „za ręką” zależnych od siebie biedaków i móc podawać im ceny odrobków itp. Wróbel jednak zdaje się być jakimś wyjątkowym człowiekiem i choć na „kwity”, ale pożyczka i długo czeka cierpliwie. Aż dopiero przy okazji wpada mu „bzlik” do głowy i pśocioty o ten dług. Zakrawający z początku na filantropa, staje się od razu, bez powodu jakimś półgłówkiem. Na półgłówka poniekąd wygląda również i Zajęzkowski, gdy to z jednej strony „różne rzeczy na Wróbla wygaduje”, a z drugiej znów — nie oddawczy jeszcze jednego długu — żebrze o dalszą pomoc.

W dalszych scenach, gdy we wsi zaczęto już mówić o zakładaniu spółdzielni produkcyjnej — Wróbel, Zajęzkowski i inni już są dobrze przez Warmińskiego ukazani i scharakteryzowani. Ale przedtem — to ani przysłał, ani przeplł, tylko „uleplił” z fantazji.

Powie ktoś, że to drobiazg w sztuce. I tak i nie. Znajdą się inni, którzy wypunktują inne „drobiazgi”. I trzeba było być jak najwięcej takich współtwórczo — reagujących czytelników i widzów. Mój „drobiazg” odnosi się do sprawy charakterystyzowania postaci. Niech autor rozważy, czy nie należy poprawić tej charakterystyki. Dwa widzę rozwiązania:

1) Jeśli Wróbel ma żądać zwrotu — wzmocnić jego paninę i z niej wynikającą dezorientację i oślepiającą wściekłość. Ze Zajęzkowski gada na niego (ośmielił się!) i że zanosi się na spółdzielnię — Wróbel zgubił i szarpie się bezplanowo. Tu trzeba wzmocnić, że tak powiem miniaturę „forrealizmu” kulaka.

2) Jeśli Zajęzkowski gada na Wróbla (będąc zadłużony) i żebrze nadal u niego — wzmocnić to ale z sensem — ukazując *chwilejność*, tego najmitu — małorolnego, chwilejność już na wyższym piętrem walki klasowej, kiedy już odważa się psocić, zalegać z długiem i nacierać z nową groźbą. Wiele może być tak: Zajęzkowski jeszcze łapie dwie sroki za ogon. Ale tradycyjną już inaczej — po nowemu i pod wpływem nowego. Prosi o nową pożyczkę, nie oddał starej, a gada po wsi na Wróbla — jaki to lańcuuch? Nie taszenie

to a groźenie! — Ty, kulaku, nim mnie zgnieściesz — musisz mnie kupować. Teraz nie tylko ja muszę o ciebie zabiegać, ty o najemną siłę — również. Dawniej można cię było tylko błagać, dziś można i postraszyć, i potargować się. Wpadam coraz bardziej w twoje „kwity” kulackie, ale gdy ty powiesz „ta karczmą Rzym się nazywa” — mogą uciec do jęich spółdzielni. Ta „polityczka” Zajęzkowskiego nie była by przyjemna i czysta, ale z brudów rzeczywistych miejscowych interesów, zaostrzających konflikt między kulakami i małorolnym, wydobywa się coraz czystsza świadomość drugiego końca — spółdzielni produkcyjnej. I póki Partia i działalność organizacji w danej okolicy nie wciągnie, nie wzmocni bezpośrednio i nie uświadomi małorolnych to w tej właśnie postaci wykorzystają oni przemiany: dwie sroki łapiąc za ogon.

Józef Pogan

O GAZETKACH FABRYCZNYCH I WIEJSKICH

Do Redaktora Naczelnego „Wsi”

Jako syn małorolnego chłopca, z trudem zdobyłem przed wojną maturę. Ten ważny w moim życiu moment był początkiem udręki przez kilkanaście lat: moje gorące pragnienie rozszerzenia i pogłębienia wiedzy przez studia uniwersyteckie nie mogło być zrealizowane.

Przeszkodą, uniemożliwiającą mi wstęp na wyższą uczelnię, była... matura szkoły zawodowej (seminarium nauczycielskiego).

Była to matura uprawniająca do nauczania innych i... o ironio... zamknięta drogą do dalszego kształcenia się na uniwersytecie.

Obecnie za stary jestem do rozpoczęcia studiów uniwersyteckich. Wybrałem sobie jednak zawód, który stał się dla mnie uniwersytem z wykładami codziennymi przez 7 godzin.

Nie ma piękniejszego zawodu nad zawód korektora. Czytam książki, ucząc się jednocześnie... i za to mi płacą. Moje marzenia o dalszym kształceniu zostały spełnione dopiero w Polsce Ludowej, bo dziś czytam jako korektor to, co naprawdę kształci do nowego życia, do nowego ustroju.

Ale po tym wstępie chcę mówić o czym innym: o gazetkach fabrycznych i wiejskich. Wstęp był po to, aby czytelnik wiedział, kto mówi na ten temat.

Otóż nie mała jest zasługa „Głosu Robotniczego”, że propaguje

ścienne gazetki łódzkich zakładów pracy, udziela rad redaktorom i organizuje wystawy gazetek (dotąd około 7).

Gazetki ścienne okręgu łódzkiego miały jedną zaletę: były czytelne nawet dla analfabetów (dużo „małunków”) i jedną wadę, były mało czytelne dla nie-analfabetów, gdyż niektóre były pisane ręcznie i co najważniejsze — w jednym egzemplarzu. Jeśli n. p. fabryka o 2000 robotników zdobyła się na jeden egzemplarz gazetki, to — praktycznie rzecz biorąc — można powiedzieć, że nie ma tu gazetki ściennej.

Jeśli na 2000 robotników przeczyta gazetkę 100 osób, a 1900 nie przeczyta, czy odważy się ktośkolwiek twierdzić, że gazетка spełnia swoje zadanie?

Gazetka, ukazująca się 3 — 5 razy w roku — w jednym egzemplarzu — nie spełnia zadania. A zadanie gazetki ściennej jest wielkie i ważne. Ciężar tego zadania spoczywa na treści tekstów, które winny dać obraz życia i pracy zakładu pracy, jego osiągnięć i niedociągnięć.

Nie święci garnki lepią — przekonał się o tym niejednen redaktor i autor artykułu gazetki fabrycznych. Ludzie ośmielają się na łamach swej gazetki do wystąpienia publicznego na szerszej arenie, do kół gazetki skupia się aktyw, który zasila kadry kierownicze zakładów pracy.

Udział w redagowaniu własnej gazetki zmusza do bystrej obserwacji i głębszego wnikiwania w potrzeby środowiska. Gazetka Zakładowa jest szkołą korespondentów fabrycznych, którzy piszą do dzienników i tygodników.

Czy wobec tych wszystkich walorów gazetki ściennej nie warto, by im zapewnić stałej opieki i pomocy fachowej, którą mogłyby objąć terenowe redakcje dzienników? Czy nie należałoby w szerokim zakresie przejąć komitetów redakcyjnych lepszych gazetek?

Należy, bo to przyczyni się — i to w niemałym mierze — do sprawniejszego zrealizowania planu 6-letniego.

W „Nowej Kulturze” pisał Z. Stolarski o gazetce ściennej „Książki i Wiedzy”. Miał on jako redaktor, wyjątkową satysfakcję — gazetka była drukowana i to w 100 egzemplarzach.

Sprawy — wydaje mi się, leży sedno sprawy. Gdyby gazetki można było drukować? (to są w rezultacie „jednodniówki”, kiedy wychodzą 5 — 7 razy na rok). Albo chociaż na powielacz?

I kiedy myślę o gazetkach świetlicowych na wsiach, z przeładowaną częścią „małunkową” i ubogim tekstem, tym silniej się umamiam w propozycji: gazetki powielaczowe, wieloegzemplarzowe i częste. Tę myśl wysuwam do dyskusji.

Stanisław Walicki

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KRÓL
Redaguje Komitet.

Adres Administracji: Warszawa, ul. Wiejska Nr. 12 Adres Redakcji: Warszawa, ul. Starynkiewicza Nr. 7.

Prenumerata i Kolorat: P. P. K. „Ruch”, Oddział w Warszawie, ul. Śrebrna 12, tel. 304-20 do 25.

Tel. Red. Nacz. 72, 73, 74, 75, 76, 77, 78, 79, wewnątrz 23 i 80.

Wyd.: SPÓŁDZIELNIA WYDAWNI. OSW. C Z Y I E L N I K R E D A K C J A N I E Z A M O W I N Y C H R E K O P I S O W N I E Z W R A C A.

Wpłata na prenumeratę można dokonywać Plac 3 Krzyży 16, Chmielna 25.

Warunki prenumeraty: miesięcznie 3—zł.; kwartalnie 9—zł.; półrocznie 18—zł.; rocznie 36—zł.; Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto PKO. Warszawa VII—1080/110 z zaznaczeniem „za tyg. „Wieś”.

Drukarnia nr 2 Spółd. Wyd.-Ośw. „Czytelnik”, Marszałkowska 8/5

2-B-11369

Marcin Wielgus